

Grudzień '70 – iskra, która rozpałała ogień

Norymberga

KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych

ISSN 0867-8952

NR 12(420) GRUDZIEŃ 2025



Noc wielkiej próby wiary

Wigilia 1939 roku
w obozie jenieckim NKWD
w Kozielsku



KOMBATANT

BIULETYN HISTORYCZNY
URZĘDU DO SPRAW KOMBATANTÓW
I OSÓB REPRESJONOWANYCH

ISSN 0867-8952

nr 12(420) grudzień 2025



dołącz do nas na facebooku i na X

www.facebook.pl/udskior
<https://x.com/Kombatanci?mx=2>

Redakcja:

ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa

Redaktor naczelny:

Katarzyna Zientara-Majewski
e-mail: katarzyna.zientara@kombatanci.gov.pl

Opracowanie graficzne: Hanna Sater

Korekta: Norbert Nowotnik

Archiwalne numery „Kombatanta”

dostępne są na stronie www.kombatanci.gov.pl



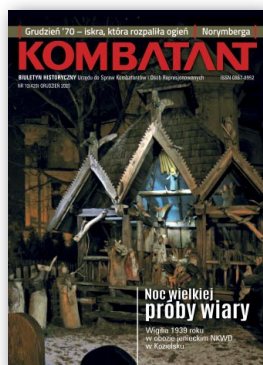
Projekt zrealizowano
we współpracy z Narodowym
Archiwum Cyfrowym

Wydawca:

Urząd do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych
ul. Wspólna 2/4, 00-926 Warszawa
punkt informacyjny tel. 22 276 77 77
www.kombatanci.gov.pl

Druk: Centrum Obsługi Administracji Rządowej
ul. Powsińska 69/71, 02-903 Warszawa

Nakład: 3500 egz.



w numerze

4 Noc wielkiej próby wiary

Wigilia 1939 roku była dla oficerów Wojska Polskiego, więzionych w obozie jenieckim NKWD w Kozielsku, czasem szczególnej zadumy. Mimo wszelkich przeciwności, z jakimi się zetknęli, nie tracili ducha. Żyli nadzieją na rychłe spotkanie z bliskimi...

Waldemar Kowalski

9 Grudzień '70 – podwyżka cen była tylko iskrą, która rozpałała ogień

Mieliśmy do czynienia z czymś, co w mojej ocenie było pokoleniowym buntem przeciwko formie władzy sprawowanej przez komunistów – podkreślił dr hab. Sebastian Ligarski, prof. Politechniki Koszalińskiej, dyrektor Centrum Solidarności „Stocznia” w Szczecinie

Katarzyna Krzykowska

13 „Bezprzykładne wydarzenie w świecie komunistycznym”, czyli obchody 10. rocznicy Grudnia '70

Uroczystości rocznicowe największy rozmach osiągnęły w 1979 r. Właśnie wtedy Lech Wałęsa, działacz WZZ Wybrzeża, pod bramą Stoczni Gdańskiej, zaapelował by za rok każdy przyniósł kamień na budowę pomnika ofiar Grudnia '70, jeśli ten nadal nie powstanie

Grzegorz Majchrzak

18 Solidarność jest naszym zobowiązaniem

Być człowiekiem Solidarności, to szanować ludzi, także tych słabszych społecznie, ekonomicznie, intelektualnie. Starać się wspierać ich, bronić, nie zamykać się w bańkach elit, a nade wszystko, nie oddawać się pogardzie. Rozmowa z dr. Wojciechem Brojerem, internowanym w stanie wojennym działaczem Solidarności, jednym z redaktorów „Tygodnika Solidarność”

Mateusz Wyderka

22 Norymberga – sąd nad III Rzeszą

Wojna, którą zamierzamy potępić i ukarać, była prowadzona z tak zimną krwią, była tak w istocie swej koszmarna, tak ducha zapierająca, że cywilizacja nie może tego zignorować – mówił przed 80 latami, na rozpoczęciu procesu w Norymberdze, główny oskarżyciel amerykański Robert H. Jackson

Norbert Nowotnik

28 Profesor Jan Sehn – człowiek, który przesłuchiwał niemieckich zbrodniarzy

W pierwszych latach po II wojnie światowej to właśnie prof. Jan Sehn stał się jednym z głównych architektów polskich rozliczeń z niemiecką okupacją. 12 grudnia br. mija 60. rocznica śmierci tego wybitnego śledczego

Norbert Nowotnik

Okładka: drewniana szopka autorstwa Józefa Wilkonia przy UKSW na warszawskich Bielanych FOT. HANNA SATER



*Wesołych Świąt
Bożego Narodzenia*

I SZCZĘŚLIWEGO
NOWEGO ROKU

Z okazji nadchodzących Świąt Bożego
Narodzenia składam najserdeczniejsze życzenia,
by ten wyjątkowy czas
przyniósł spokój, ciepło i radość,
a chwile spędzone w gronie najbliższych
wzmocniły międzypokoleniowe więzi w naszych rodzinach.

Nowy Rok niech obdarzy Państwa zdrowiem i szczęściem,
a naszej Ojczyźnie przyniesie pomyślność
oraz narodową zgodę wokół najważniejszych spraw.

Lech Parell

LECH PARELL

Szef Urzędu do Spraw Kombatantów
i Osób Represjonowanych



FOT. FILM ANDRZEJA WAJDY „KATYŃ” – MATERIAŁY PRASOWE

TEKST | Waldemar Kowalski

NOC WIELKIEJ próby wiary

Wigilia 1939 roku była dla oficerów Wojska Polskiego, więzionych w obozie jenieckim NKWD w Kozielsku, czasem szczególnej zadumy. Mimo wszelkich przeciwności, z jakimi się zetknęli, nie tracili ducha. Żyli nadzieją na rychłe spotkanie z bliskimi...

Święta Bożego Narodzenia, kojarzone z radosną, rodzinną atmosferą, były dla jeńców z Kozielska wyjątkowo trudne. Wiara w to, że zdołają wyjść z opresji i powrócić z nieludzkiej ziemi, pozwalała im jednak znosić to, co wydawało się nie do zniesienia.

Co z nami będzie?

W okresie przedświątecznym wśród Polaków więzionych w obozie pano-

wało spore ożywienie. Ekscytacja i lęk przed nieznanym przeplatały się z głębokim przeżywaniem Adwentu oraz świadomością trudnego losu, a może nawet nieuchronnego końca. Emocje były skrajne: dominowały tęsknota, wewnętrzne rozdarcie i smutek, ale obecna była również nadzieja, która – jak wierzone – umiera ostatnia. Podchorąży Zdzisław Peszkowski, jeden z nielicznych ocalałych z Kozielska, notował: *Nasze myśli wypetniały cią-*

głe rozważania – co właściwie się stało i co z nami będzie? I wtedy naszą jeniecką społeczność można było podzielić na skrajnych pesymistów, którzy widzieli siebie na Syberii i jeżeli życie, to praca gdzieś w gułagach, i optymistów, którzy twierdzili, że jeszcze chwilka, a będziemy wolni i wtedy odkujemy się.

Obozowe plotki narastały z każdym dniem. Mówiono o rzekomej wymianie jeńców, o pracy w kolchozach,

o wywózkach na Syberię. Wystarczyło – czytamy w relacji ocalonego – że ktoś usłyszał, że jakiś komandir powiedział do drugiego, że zaraz po Bożym Narodzeniu będą jakieś transporty, jakaś wymiana, że poszukują specjalistów. Natychmiast z tego tworzyły się teorie, poufne informacje i wszystko wrzało. Trzeba było ogrom-

chwilowe wytchnienie. Nawet jeśli miały się one odbyć pod okiem strażników, którzy zakazywali praktyk religijnych i kultywowania polskości.

Adwent za drutami

W tak napiętej atmosferze w Kozielsku oczekiwano na Boże Narodzenie. Mimo wszystkich przeciwności losu,

świąt, tym nastrój stawał się coraz trudniejszy do zniesienia tak dla nas, jak i chyba dla władz bolszewickich, bo dwa razy w tym czasie zrobiono nam niespodziewaną rewizję i apele – liczenia – zapamiętał podchorąży.

Po tym, jak w listopadzie polscy oficerowie „samozwańczo” zorganizowali w obozie obchody Święta Niepodległości, Sowietci nasilili represje. Po groźbą surowych kar zakazano zrzeszania się. Co jakiś czas, cyklicznie, Polakom urządzano rewizje. W międzyczasie personel obozu poddawał skrupulatnej obserwacji „stan polityczno-moralny” jeńców, których poddawano intensywnej indoktrynacji. – Co dzień teraz dają nowe filmy, mniej lub więcej propagandowe. Mają nadzieję nas jeszcze nawrócić – notował ppor. Stanisław Bakula.

Raporty NKWD donosiły o „niepokojącej religijności oficerów”, ich przywiązaniu do symboli narodowych i odmowie współpracy z politrukami, próbującymi narzucić im bezbożną ideologię.

W informacji specjalnej „dotyczącej negatywnych faktów stanu moralno-politycznego i wypadków nadzwyczajnych w obozach dla jeńców wojennych w okresie od 1 do 31 XII 1939 roku”, sporządzonej przez Zarząd NKWD ds. Jeńców Wojennych, zapisano: W swej większości kadra oficerska jest religijna, podobnie jak w obozie starobielskim były próby przeprowadzania zbiorowych nabożeństw. Znajdując się w obozie, starają się zachować szlify, ordery i oddawanie honorów. Aparat polit [yczny] prowadzi pracę uświadamiającą i jednocześnie propagandę religijną.

Zgodnie z konwencją genewską z 1929 roku, jeńcy mieli prawo do swobodnego kultu, ale Sowietci zupełnie ignorowali prawo międzynarodowe. Tak czy inaczej, mimo grożących kar, Polacy rozwieszali w barakach krzyże czy ikony. W największej tajemnicy księża spowiadali oraz spra-



nie dużo spokoju, aby nie dać się zwa-riować.

Każdy dzień był sporym wyzwaniem dla i tak mocno zszarganych nerwów polskich jeńców. Ogólna dezorientacja i lęk przy wyjeździe w nieznaną musiała wywierać zły wpływ na psychikę. – Rozsiewane były pogłoski najbardziej fantastyczne, że będą nas wymieniać na jeńców niemieckich, że pójdziemy do kolchozów do roboty, bo przecież trudno nas, taką dużą gromadę, wyżywić, to znów inni twierdzili, że jedyna możliwość – to Syberia, gułagi. (...) Wszyscy w Kozielsku oczekiwaliśmy na wyjazd. Było to wielką huśtawką psychiczną. Dlaczego tamten, a nie ja? Jaki jest klucz tych niespodziewanych decyzji? Dokąd oni jadą? – pytał pchor. Peszkowski.

Nawet jeśli wśród najbardziej zrezygnowanych pojawiały się głosy o niewielkich szansach na przeżycie, czekano na święta, licząc choćby na

Wszyscy w Kozielsku oczekiwaliśmy na wyjazd. Było to wielką huśtawką psychiczną. Dlaczego tamten, a nie ja? Jaki jest klucz tych niespodziewanych decyzji? Dokąd oni jadą?

do świąt trzeba było się jakoś przygotować... – Specjalny czas w tych pierwszych miesiącach niewoli – to Adwent. Nigdy dotąd nie przeżywałem tak dogłębnie tego okresu. Bolesne oczekiwanie na Boże Narodzenie, z dala od domu, zupełnie poza Polską, gdzieś w bezkresnych lasach na Białorusi, choć prawdziwie to na dawnych ziemiach koronnych. Im bliżej

wowali Eucharystię. *Mimo absolutnego zakazu władz obozowych* – zano-
tował pchor. Peszkowski – *w tych
koszmarnych dniach modliliśmy się
nie tylko indywidualnie, ale i wspól-
nie*. Przekonanie, że los każdego zale-
ży od Opatrzności Bożej było – jak to
określił – „jedynym stałym punktem
odniesienia” jeńców obozu. Wiara by-
ła więc tym elementem, który wzmac-
niał solidarność między więźniami –
tę samą, którą enkawudziści za wszel-
ką cenę starali się rozbić.

Posługę kapłańską, sprawowaną
dzięki pomysłowości jeńców, tak wspo-
minal późniejszy kapelan Rodzin Ka-
tyńskich: *Msza święta odprawiała się
w największej tajemnicy w jednym blo-
ku, ze strażami na zewnątrz budynku.
Kielichem była szklaneczka, pateną
spodeczek. Hostia z mąki podkradzio-
nej z kuchni. Z winem to dłuższa hi-
storia, bo kilka garści rodzynek otrzy-
małem za spodnie, które spodobały się
bojcowi. Z tych rodzynek było wino.*

Nastroje w obozie kiepskie...

Przed świętami Sowici zezwolili jeń-
com Kozielska na napisanie listów
(z podaniem adresu zwrotnego) do
najbliższych. Chcieli w ten sposób
uśpić czujność przyszłych ofiar i ukryć
swoje prawdziwe intencje. Oczywiście
treść listów poddawano skrupulatnej
cenzurze. Część tej korespondencji
odnaleziono w katyńskich dołach
śmierci podczas niemieckich ekshu-
macji, prowadzonych wiosną 1943 ro-
ku. – *Zbliżają się święta Bożego Na-
rodzenia, a my tu jeszcze siedzimy,
ciężko to będzie przechodzić tutaj bez
Was, na obczyźnie i w niewoli. Leżę
sobie – myślałem dużo o Tobie, ko-
chanie, jak się z Tobą zobaczę po tych
wszystkich tarapatach wojennych* –
pisał ppor. Dobiesław Jakubowicz, do
którego z trudem docierała wiado-
mość, że spędzi święta bez żony i có-
reczki.

Podobne przemyślenia przełał na
papier mjr Kazimierz Szczekowski:

*Nastroje w obozie kiepskie, zapewne
wobec zbliżających się świąt. Mnie też
chandra znów gnębi – spacerować nie
można, bo silny mróz i wiatr. Inny
oficer, ppor. Włodzimierz Wajda, nie
zważając na przeciwności losu, pisał:
Jutro choinka, no i Wilię będziemy
mieli fest. W dzisiejszym rozkazie
władze zabroniły nam śpiewać jutro
kolędy. No niech nas pocałują w dupę.*

Zbliżają się święta Bożego Narodzenia, a my tu jeszcze siedzi- my, ciężko to będzie przechodzić tutaj bez Was, na obczyźnie i w niewoli

*Będziemy śpiewali cały wieczór. Nie-
wielu oficerów przejawiało jednak
w kontekście zbliżających się świąt
tyle entuzjazmu...*

Mimo surowych warunków, wśród
Polaków widać było potrzebę stwo-
rzenia choćby skromnej namiastki bo-
żonarodzeniowej tradycji. Wieczerza

miała być odświętna, nawet jeśli na
stole brakowało potraw, które znano
z rodzinnych domów.

Co zatem tego wyjątkowej wie-
czoru spożywali polscy jeńcy? Jadło-
spis był oczywiście zróżnicowany.
– *Śledź, kasza, gotowany dorsz, kisiel
i moc herbaty* – takich dań kosztował
w przeddzień Bożego Narodzenia mjr
Szczekowski.

Podporucznik Jakubowicz pisał, że
wigilijne menu przygotowywano już
skoro świt, bo od godziny 4 rano. Po
zebraniu się przy prowizorycznym
stole i przemówieniach przełożonych,
jeńcy dzielili się opłatkiem, a następ-
nie ucztowali. Jedzono kanapki ze śle-
dziem siekanym, ugniatane ziemnia-
ki, smażoną rybę, kaszę z kisiem
oraz jabłka.

Toast wznoszono naparstką wód-
ki. – *Na wigilię stół w podkowę, białe
prześcieradło, opłatek, ryba zimna,
śledzie, kisiel, czarna kawa, pierniczki,
drzewko – potem kolędowano – grano
na gitarze i mandolinie* – relacjonował
ppor. Zbigniew Przysasz. Jak doda-
wał, w pierwszy dzień świąt jeńcy
otrzymali do jedzenia biały chleb, a na
obiad – gulasz.

Nie zawsze menu na Wigilię było
tak obfite – niekiedy Polacy zasiadają-

FOT. FILM ANDRZEJA WALDY „KATYŃ” – MATERIAŁ PRASOWE



cy do symbolicznej wieczerzy mieli do dyspozycji jedynie suchary i śledzie, czasami też konserwy z wcześniejszych przydziałów, które zachowano specjalnie na tę okoliczność. Owoce były rarytasem. Do picia przeważnie czarna kawa. – *Wigilia była skromna, ale czuliśmy się jak w rodzinie* – zapisał w podręcznym kalendarzu ppor. Augustyn Dyjas.

„trudny wigilijny dzień” nie było do śmiechu. – *Smutny dzień – nic nie wiadomo co w domu, jak tam dzieci i Maryś, ale co robić. Vis maior [siła wyższa]. Wigilia wieczorem o 18.00 – trochę łez i smutku – uchwaliliśmy, że musimy się trzymać, bo potrzebni jesteśmy silni (...). Zebraliśmy się i siedzimy wszyscy – składamy sobie życzenia, po cichu razem śpiewaliśmy*

truje pierwszej gwiazdki – Ciebie! – pisał do ukochanej ppor. Florian Nowakowski.

Przygnębiający obraz Wigilii 1939 roku pozostawił po sobie także kpt. Antoni Wróblewski: *Stół nakryty prześcieradłem, choinka mała ubrana piernikami i papierosami. Pokój mój – 40 kolegów – dzielimy się opłatkiem i wśród szlochów i łez składamy*

Kolędować nie wolno. Wszyscy przenieśli się myślami do swoich i snuli powrotne marzenia. Noc księżycowa, lekki mróz i śnieg – idealne święta – niestety tylko pod tym względem

sobie życzenia, a całą duszą i sercem rwie się każdy z nas do najdroższych. Po opłatku chleb ze śledziem i herbata. Nie mogę nic przełknąć. Oddalam się od mej pryczy i łkając, ślę swe życzenia Stefie i Hance, i wszystkim moim drogim gorącą modlitwą. Jak ona spędza wigilię? Z kim? Północ, zasypiałem, gdy zbudził mnie dyskretny, cichy chór kolęd. To chór kolegów tak piękny i tęskny, i rzewny, że znów ze wszystkich pryczy rozlega się tłumiony szloch, w którym czuć tęsknotę, rozpacz i własną straszną niemoc.

W liście do żony ppor. Jakubowicz wspominał o wyjątkowym, choć naznaczonym cierpieniem wieczorze: *Wilia była na naszej sali bardzo uroczysta – 15 panów. Prycza i stół nakryte były prześcieradłem, choinka mała, opłatek własnej roboty i siano. (...) Cały czas myślałem o Tobie, kochanie i Bożence i życzę Ci Marysienko wszystkiego najlepszego*



FOT. FILM ANDRZEJA WALDY „KATYŃ” – MATERIAŁY PRASOWE

Wigilijne opłatki – o których wspominali jeńcy w swych pamiętnikach – miały formę cienkich placuszków. Zrobiono je z mąki wykradzonej z kuchni. – *Trochę przypominały macę, ale były* – zwrócił uwagę pchor. Peszkowski.

Polscy jeńcy robili wszystko, aby poczuć w Boże Narodzenie przynajmniej namiastkę rodzinnej atmosfery. Nie mogło zatem zabraknąć choinek, choć najczęściej zamiast drzewek wystarczyć musiały – zapamiętał jeden z oficerów – „zatknięte na słupach gałązki”. Przyozdabiano je czym się da: zwykłym papierem, czasem piernikami, a nawet... papierosami.

Pełno łez jawnych i ukrytych

Choć oczekiwanie na Boże Narodzenie było czasem radości, nikomu w ten

kolędy – notował lekarz por. Jan Zienkiewicz.

W Wigilię nie zabrakło oczywiście wzruszeń. Major Stefan Pieńkowski wdychał: *Wilia – ale jaka – pełno łez jawnych i ukrytych!*. Z kolei kpt. Tomasz Siwicki zapisał w notatniku: *Wigilia. Zabroniono kolęd i zbierania się. (...) Pałac ostatnią „Mewę”, spędziliśmy czas do godziny 1.00. (...) Z jednej strony panowało ożywienie, z drugiej głęboka zaduma i nawet łzy. Kolędować nie wolno. Wszyscy przenieśli się myślami do swoich i snuli powrotne marzenia. Noc księżycowa, lekki mróz i śnieg – idealne święta – niestety tylko pod tym względem.*

– *Urządzamy Wilię. Ciężki dzień. Wzajemne winszowania. Myślą jestem z Wami: Mamo, Geno, Polu, Ninco, Kaziu i Marylko z Józkiem. Wypa-*

go, prędkiego spotkania się ze mną oraz aby nasze życie układało się później jeszcze lepiej i pogodniej niż dotychczas, również i Bożence, by zdrowa była i wyrosła nam na pociechę. Myślę, że Ty również kochanie wiesz, że tu jestem, myślałaś o mnie. Przykro mi bardzo, że muszę tutaj spędzać wilię, a nie z Tobą, Marysieńko.

25 grudnia przypadała rocznica ich ślubu... – Wierzę w to, że już następną rocznicę i święta Bożego Narodzenia będziemy Kochanie, Marysieńko, obchodzić razem, a może nawet prędzej zobaczymy się. Trudno opisać mi to, co czuję w tej chwili, ale ty takie uczucia dobrze znasz – tęsknota. Żał za Tobą i chyba więcej jeszcze, Marysieńko, nie potrafię tego napisać nawet – wyjaśniał jeniec sowieckiego obozu. Mimo ogromnego żalu, jaki wyrażał, nie tracił nadziei na spotkanie z rodziną. Tysiące polskich oficerów myślało podobnie...

– Wszystko, posiłek też, zakrapiano sztucznym humorem, aby jakoś przebrnąć. Śpiewanie kolęd nie szło – pisał pchor. Peszkowski.

Każdy w moim sektorze – dodawał – dostał nawet jakiś mały podarek. Przed dzieleniem się opłatkiem wysłaliśmy najmłodszego, aby zobaczył, czy już świeci gwiazda. Wśród nocnej ciszy zaczęliśmy Wigilię. Najstarszy z nas przeczytał wyjątek z Pisma Świętego, który odpisałem z mszalika pewnego majora (...) i składaliśmy sobie życzenia.

Po wigilijnej kolacji wielu jeńców wracało myślami do swych rodzinnych domów, oddalonych setki kilometrów od obozu kozielskiego. – Wzięłem na siebie mycie naszych naczyń, ale pod warunkiem, że każdy opowie swoje ostatnie Boże Narodzenie i pomarzy, jak chce przeżyć następne. Po dwóch godzinach wszyscy chcieli być sami ze swoimi myślami. Można było uczynić to tylko na swojej pryczy. Wyjść w nocy nie było wolno... choć tak pięknie było na świecie:



FOT. FILM ANDRZEJA WAJDY „KATYŃ” – MATERIAŁ PRASOWY

Wzięłem na siebie mycie naszych naczyń, ale pod warunkiem, że każdy opowie swoje ostatnie Boże Narodzenie i pomarzy, jak chce przeżyć następne

nieskalany śnieg, cisza, niebo roziskrzone gwiazdami i myśli, które tylko modlitwą się uskrzydlały – zapamiętały ocaląły jeniec Kozielska.

Wigilijny dramat

Spokój polskich oficerów nie trwał długo. Późnym wieczorem do poszczególnych baraków zaczęli wchodzić enkawudziści. – Kręcili głowami na widok gałązek świerkowych, ustawionych na środku pokoju między pryczami, i białego płótna, na którym leżał opłatek i szopeczka – opisywał jedną z wigilijnych rewizji pchor. Peszkowski. Był to jednak dopiero przedsmak tragedii, która niebawem miała się wydarzyć...

Chwilę później rozpoczęły się aresztowania. Tego wieczoru Sowietci zabrali niemal wszystkich duchownych przetrzymywanych w Kozielsku i Sta-

robielsku. Wywieziono ich na Łubiankę, skąd mało kto wracał żywy... Z drugiej jednak strony wielu z deportowanych – paradoksalnie – uniknęło w ten sposób śmierci w Lesie Katyńskim. W obozie kozielskim pozostał jedynie ks. mjr Jan Leon Ziolkowski, który w trakcie aresztowań odsiadywał w karcerze karę za odprawienie „nielegalnego nabożeństwa”. Do końca sprawował swą duszpasterską posługę wśród innych jeńców. Zginął w Katyniu wiosną 1940 roku. – Ciągłe mam w pamięci obraz naszych księży, których zabrano nam w samą noc wigilijną. Przerwano ciszę tego wieczoru, zarządzono rewizję, księży wyprowadzono i zniknęli bez śladu. Zostaliśmy tak straszliwie osieroceni. Dopóki byli pośród nas, zawsze można było podejść dyskretnie podczas spaceru, wypowiedzieć się, porozmawiać i było człowiekowi łatwiej. Z uporem powraca mi pamięć tamtej nocy. (...) Przypominam sobie ten bezmiar męki, beznadziejności, bezlitośnie rozwalonych tęsknot i pragnień – opisywał pchor. Peszkowski, który po ocaleniu niezłomnie głosił prawdę o sowieckich zbrodniach.

Wigilia 1939 roku w Kozielsku, naznaczona tęsknotą i cierpieniem, niewątpliwie była – jak to ujął późniejszy kapłan – „nocą wielkiej próby wiary”.



dr hab. Sebastian Ligarski
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Grudzień '70

– podwyżka cen była tylko iskrą,
która rozpałała ogień

Mieliśmy do czynienia z czymś, co się nazywa rewoltą, rebelią, buntem, natomiast w mojej ocenie był to pokoleniowy bunt przeciwko formie sprawowanej władzy przez komunistów – podkreślił dr hab. Sebastian Ligarski, prof. Politechniki Koszalińskiej, dyrektor Centrum Solidarności „Stocznia” w Szczecinie.

Wieczorem 12 grudnia 1970 roku w radiu i telewizji ogłoszono komunikat o wprowadzeniu od 13 grudnia podwyżki cen wielu towarów, zwłaszcza artykułów spożywczych. Na Wybrzeżu wybuchły strajki robotników. Było to największe po 1956 roku wystąpienie przeciwko polityce władz. Czy skala grudniowego buntu przerosła władzę?

Władze PRL przygotowywały się do tzw. operacji cenowej, badając i starając się rozeznaczyć nastroje społeczne. Temu służyła m.in. operacja „Jesień 1970”, uruchomiona 9 grudnia 1970 roku, która miała na celu zapewnienie porządku i bezpieczeństwa publicznego w kraju oraz koordynację działań jednostek organizacyjnych resortu

spraw wewnętrznych. Tak to nazywano oficjalnie, ale de facto operacja miała także zbadać, jak społeczeństwo zareaguje na drastyczne podwyżki cen wprowadzone tuż przed świętami Bożego Narodzenia.

Rządzący nie byli w stanie na tyle zlaicyzować kraju, żeby społeczeństwo nie chciało obchodzić świąt Bo-

żego Narodzenia. To oczywiście wiązało się ze wzmożoną konsumpcją, czyli zakupami. Wiadomo było, że tak drastyczne podwyżki będą nie do przyjęcia. Tym bardziej, że mieliśmy do czynienia z typową gospodarką niedoboru, czyli brakiem wielu podstawowych artykułów żywnościowych na rynku, próbami zastępowania ich czymś innym, poszukiwaniami przez ludzi artykułów w bardzo wielu miejscach. W związku z tym władze spodziewały się, że może dojść do jakiegoś wybuchu, lokalnych protestów. Nie zdawano sobie jednak sprawy ze skali niezadowolenia społecznego i w tym sensie rzeczywiście wybuch strajków na Wybrzeżu zaskoczył władzę.

Grudzień '70 miał wyłącznie podłoże ekonomiczne?

W dużej części tak, ale w momencie wysuwania przez robotników, szczególnie w Szczecinie, postulatów dotyczących wolnych, niezależnych, robotniczych związków zawodowych, czy też takich, które wzywały do zmiany sposobu sprawowania władzy, rządzący zaczęli traktować ten protest jako polityczny. Co więcej, traktowali go jako kontrrewolucję, ponieważ uderzał w podstawy socjalizmu. Władysław Gomułka, ówczesny pierwszy sekretarz KC PZPR, uważał, że społeczeństwo jest niewdzięczne, bo przecież kilka dni wcześniej, 7 grudnia 1970 roku w Warszawie, podpisany został układ między PRL a RFN potwierdzający granicę na Odrze i Nysie Łużyckiej. Dlatego protesty społeczne, które wybuchły po podwyżce cen, odbierał bardzo osobiście, jako wymierzone w niego i jego współpracowników.

Z jakiego powodu bunt wybuchł przede wszystkim na Wybrzeżu?

Wybrzeże, czyli stocznie i porty, skupiało jak w soczewce problemy całego kraju. Stocznie należały do najważniejszych zakładów pracy i zajmowały

się budową statków. Aby statek mógł powstać, potrzebna była współpraca wielu zakładów dostarczających materiały i komponenty: blachy, nity, śruby, silniki, a także wyposażenie, od sprzętu radionawigacyjnego po zwykłe meble. Gdy z powodu niedoboru materiałów coś nie dotarło, w stoczni następował przestój, za który robotnikom nie płacono. Kiedy natomiast materiały – np. blachy – docierały, nadganiano zaległości, pracując nawet na trzy zmiany, co odbijało się na codziennym życiu pracowników.

Dochodziły do tego narastające nierówności płacowe między pracownikami umysłowymi a fizycznymi, fatalne warunki pracy i zamieszkania oraz liczne problemy społeczne kumulowane przez władze.

Wybrzeże było specyficzne także ze względu na większe otwarcie miast portowych. To miejsca, do których przyływały zachodnie statki i marynarze z różnych stron świata – ludzie mający pieniądze, bawiący się w lokalnych klubach i restauracjach, podnoszący aspiracje Polaków, którzy obserwowali ich styl życia i zachowania.

Należy pamiętać także, że w przemysle stoczniovym pracowali zazwyczaj młodzi ludzie, których ambicje rozmięły się z tym, co widzieli na ulicach, czego doświadczali na co dzień. Słyszeli, że kraj rośnie w siłę, jest coraz lepiej, a w portfelach mieli coraz mniej pieniędzy, na wiele produktów ich nie było stać. Ci ludzie mieszkali również w fatalnych warunkach. Hotele robotnicze były bardzo słabo wyposażone, były brudne. Siła nabywcza pieniędzy, które zarabiali w stoczni, była coraz mniejsza, choć władze wiele im obiecywały. Wiele osób ze wsi, z mniejszych miasteczek, mimo wszystko szukało pracy w stoczniach. Uważali, że ich byt znacznie się poprawi. A tak się nie działo, nie następował ich awans społeczny. To kolejna podstawa do rodzącego się buntu. Podwyżka cen, którą zafundowała władza,

była już tylko iskrą, która rozpaliła ogień. Na początku najmocniej w Gdańsku.

Jakie były postulaty strajkujących? Czy one się różniły między poszczególnymi ośrodkami?

W większości były to postulaty społeczne i płacowe: dostosowanie wynagrodzeń robotników do podwyżek cen, wyrównanie nierówności czy sprawiedliwy podział premii. Pojawiały się jednak także żądania dotyczące wolności prasy i religii, a te miały już charakter polityczny.

W Szczecinie stwierdzono wprost, że Centralna Rada Związków Zawodowych nie spełniła oczekiwań robotników. W związku z tym żądali utworzenia niezależnych związków zawodowych podporządkowanych robotnikom. To był krok milowy, jeśli chodzi o samą świadomość robotników, którzy mieli przekonanie, że dotychczasowe związki ich nie bronią, nikt nie reprezentuje ich interesów przed dyrekcją zakładu pracy. Dlatego chcieli powołać własne związki zawodowe spośród wybranych przez siebie przedstawicieli. To był główny postulat polityczny uderzający wprost we władzę, wysunięty w dodatku przez grupę społeczną, która miała budować dobrobyt socjalistyczny w Polsce, czyli robotników. Należało zatem ich poskromić.

Jak przebiegało użycie siły przez władzę?

Strajk, który wybuchł 14 grudnia w Gdańsku, został uznany przez władze za polityczny. Dlatego Władysław Gomułka i jego najbliżsi współpracownicy, zebrani 15 grudnia rano w gmachu KC PZPR w Warszawie, podjęli decyzję o użyciu broni ostrej. Gdy doszło do bezpośrednich starć między strajkującymi a Milicją Obywatelską, użyto broni – pojawili się pierwsi ranni i zabici. Po raz pierwszy w okresie Polski Ludowej płonął gdań-

ski Komitet Wojewódzki PZPR, a wraz z nim inne budynki kojarzone z władzą. W Gdańsku sytuacja ta trwała dwie doby.

Czy wiemy, ile osób straciło życie?

W Gdańsku straciło życie dziesięć osób, w tym dwóch milicjantów. Kolej-

ne osiemnaście osób poniosło śmierć w Gdyni. 16 grudnia wieczorem wicepremier Stanisław Kociołek wystąpił w Polskim Radiu i Telewizji Polskiej i wezwał do powrotu do pracy. Część osób, która zdecydowała się ruszyć do pracy na ranną zmianę, wsiadła w Szybłą Kolej Miejską i udała się

w kierunku Stoczni im. Komuny Paryskiej w Gdyni, gdzie przed godziną 6 została zaatakowana, głównie przez oddziały wojska, które bez ostrzeżenia ostrzelały tłum zmierzający do stoczni. Doszło do masakry.

Odminną dynamikę miały strajki szczecińskie...

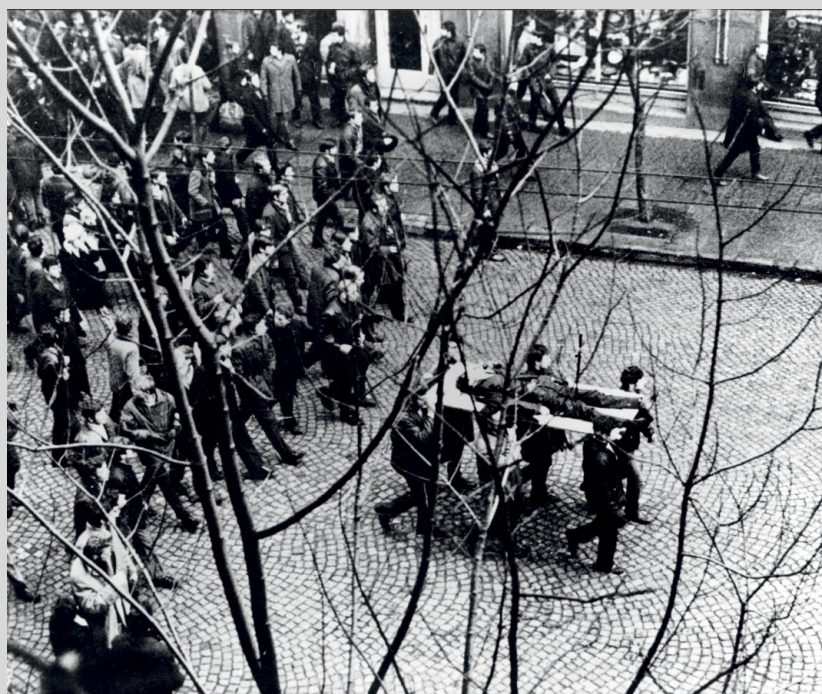
W Stoczni Szczecińskiej im. A. Warskiego narastało napięcie w związku z tragicznymi informacjami napływającymi z Trójmiasta. Rankiem 17 grudnia wiec stoczniowców przed budynkiem dyrekcji przerodził się w robotniczy pochód, który został jednak rozproszony przez siły milicyjne. Około południa z „Warskiego” wyruszył kolejny, znacznie większy pochód; dołączyli do niego pracownicy stoczni remontowej „Gryfia” oraz innych zakładów pracy. Manifestanci dotarli pod gmach KW PZPR, który został podpalony, a następnie przebiegli pod siedzibę KW MO. Tego dnia w Szczecinie zginęło 13 osób, w tym 16-letnia Jadwiga Kowalczyk, zastrzelona we własnym domu!

Następnego dnia protest wybuchł na nowo i został brutalnie spacyfikowany przez znaczne siły wojska. Pod bramą Stoczni im. Warskiego zginęły kolejne dwie osoby, w tym 16-letni Stefan Stawicki, który stał się później bohaterem filmu „Skarga” Jerzego Wójcika z początku lat 90. XX wieku. Stoczniowcy wiedzieli, że ponowne wyjście z zakładu doprowadzi do kolejnych ofiar, dlatego zamknęli bramy i powołali Komitet Strajkowy, który przekształcił się w tzw. Ogólnomiejski Komitet Strajkowy, a następnie sformułował 21 postulatów o charakterze ekonomicznym i politycznym. Na czele komitetu stanął Mieczysław Dopierała.

W dniach 18–22 grudnia 1970 roku powstała tzw. Republika Szczecińska. Ośrodek władzy znajdował się w Świetlicy Głównej „Warskiego”, gdzie obradował komitet strajkowy,



Gdynia, 1970 r. FOT. PAP



Ulicą Świętojańską w kierunku centrum przechodzi pochód demonstrantów niosących na drzewiach zwłoki Zbigniewa Godlewskiego FOT. PAP

podejmując decyzje porównywalne z kompetencjami Komitetu Wojewódzkiego PZPR czy Miejskiej Rady Narodowej. Strajkujący dysponowali tramwajami i śmieciarkami, decydowali, które piekarnie będą czynne i jak będzie funkcjonować miasto, ponieważ lokalne władze zamknęły się w sztabie 12. Dywizji Zmechanizowanej i oczekiwały na rozwój wydarzeń. Przez cztery dni to robotnicy sprawowali realną władzę w mieście – to historia dziś w dużej mierze zapomniana.

Strajk zakończył się 22 grudnia, m.in. ze względu na zbliżające się święta Bożego Narodzenia oraz narastającą presję władz. Do jego wygaszenia niewątpliwie przyczyniły się też zmiany na szczytach władzy – skompromitowanego Władysława Gomułka zastąpił Edward Gierek.

Czy to, co się wtedy wydarzyło, można nazwać wojną polsko-polską?

To zbyt daleko idące stwierdzenie. Aby mówić o wojnie wewnętrznej, musiałoby dojść do masowych protestów w całym kraju oraz powszechnej konfrontacji pomiędzy milicją – szerzej: aparatem władzy – a społeczeństwem. Faktem jest, że w niektórych regionach, m.in. w Krakowie, Wałbrzychu, Słupsku i Elblągu, doszło do starć między milicją a protestującymi, ale nie miały one tak masowego charakteru jak na Wybrzeżu. Zresztą zostały szybko rozbite.

Mieliśmy raczej do czynienia z rewoltą, rebelią, buntem. Niektórzy używają nawet określenia „powstanie”, choć w mojej ocenie był to przede wszystkim pokoleniowy bunt przeciwko formie sprawowania władzy przez komunistów. Społeczeństwo domagało się zmian i poprawy swojej sytuacji.

Zgadza się pan ze stwierdzeniem, że Grudzień '70 zrodził Sierpień '80?

Nie ma co do tego żadnych wątpliwości. Wielu z tych, którzy organizowali

protesty w grudniu 1970 roku, również zaprezentowało się w sierpniu 1980 roku. Sama organizacja strajku, zamknięcie bram, niepowtórzenie tego, co stało się w grudniu 1970 roku, bardzo szybka samoorganizacja strajkujących, powołanie straży porządkowej i poszczególnych komórek komitetu strajkowego, przekształcenie się komitetów strajkowych w międzyzakła-

a odwaga strajkujących również imponująca, wiemy wciąż bardzo niewiele. Dobrze byłoby, aby również te protesty zostały gruntownie udokumentowane i opisane – po to, by nie zapomnieć o ludziach, którzy tam walczyli.

Otwarte pozostaje także pytanie o liczbę ofiar. Oficjalnie podawano 45 zabitych i liczba ta nie została do dziś podważona wiarygodnymi dowo-



Spalone samochody podczas buntu robotniczego w grudniu 1970 r., na parkingu przed Komendą Miejską Milicji Obywatelskiej w Gdańsku, przy al. Świerczewskiego 27 FOT. PAP

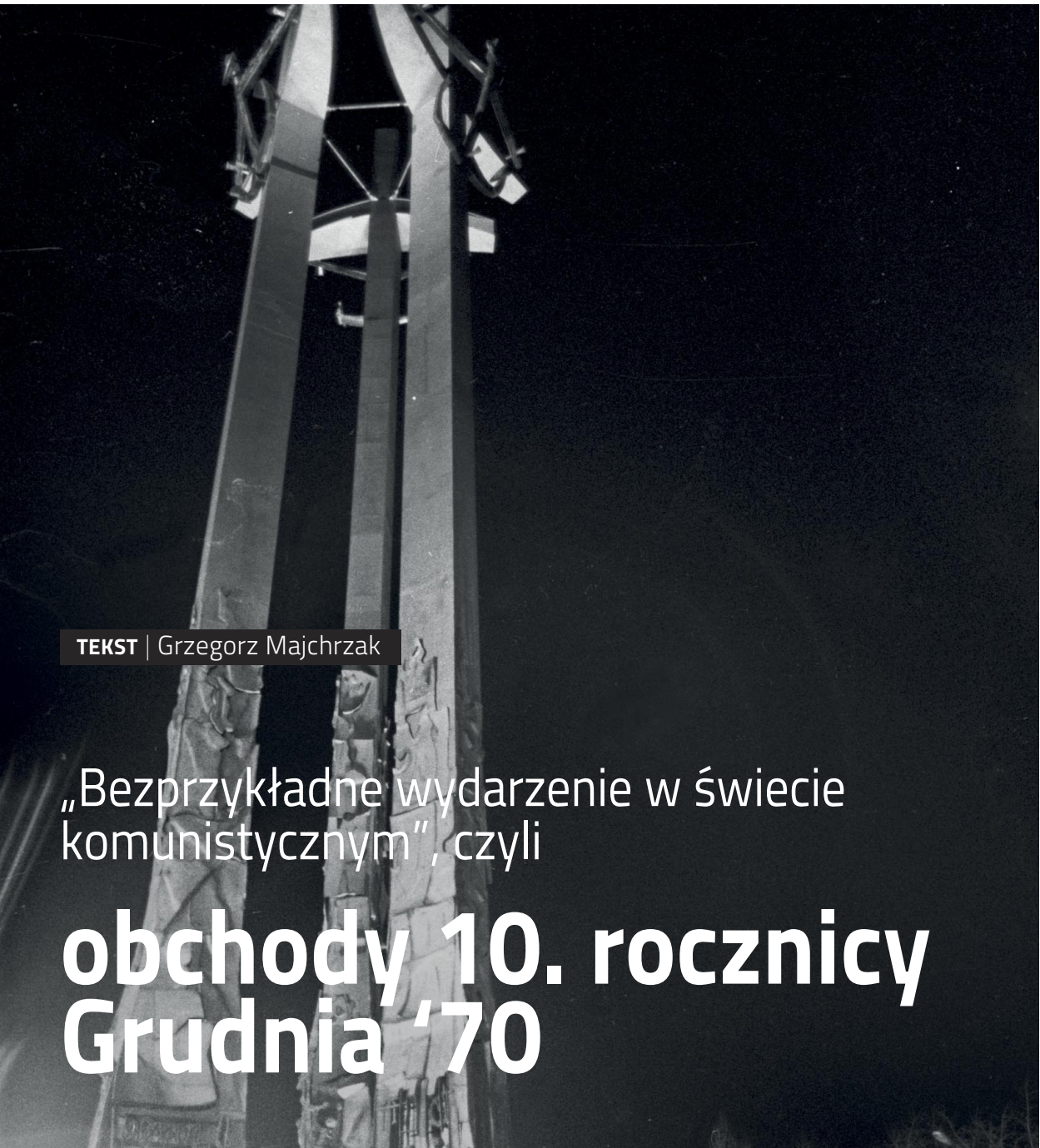
dowe komitety strajkowe, zapewne nie poparcia społeczeństwa z całego miasta pokazuje, że bardzo dobrze „odrobiono lekcję” z grudnia 1970 roku

Czy po 55 latach można powiedzieć coś nowego o tych wydarzeniach?

Grudzień '70 jest stosunkowo dobrze zbadany, szczególnie jeśli chodzi o główne ośrodki protestu na Wybrzeżu. Warto jednak sięgnąć głębiej i przyrzeć się działalności komitetów strajkowych w mniejszych zakładach pracy. Mam wrażenie, że o tych miejscach, gdzie strach był z pewnością większy,

dami. Istnieją jednak relacje mówiące, że w prosektoriach widziano ponad 100 ciał. Do ofiar nie zalicza się osób, które zmarły później w wyniku odniesionych ran lub innych powikłań. Wiadomo też o niewyjaśnionych zgonach w kolejnych latach, m.in. wśród części przywódców szczecińskiego strajku. Trzeba się liczyć z tym, że były osoby, które zmarły kilkanaście lub kilkadziesiąt dni po wydarzeniach z 14–19 grudnia 1970 roku, a ich śmierć była z nimi bezpośrednio związana.

**Rozmawiała
Katarzyna Krzykowska**



TEKST | Grzegorz Majchrzak

„Bezprzykładne wydarzenie w świecie
komunistycznym”, czyli

obchody 10. rocznicy Grudnia '70

Przez lata oficjalne obchody rocznic Grudnia '70 były niemożliwe. Pamięć o nich podtrzymywali jednak mieszkańcy Wybrzeża oraz – od drugiej połowy lat 70. – działacze rodzącej się tam opozycji, zwłaszcza Wolnych Związków Zawodowych i Ruchu Młodej Polski. Mimo przeciwdziałania władz, przede wszystkim Służby Bezpieczeństwa, oraz represji, jakie ich za to spotykały, organizowali uroczystości rocznicowe, które największy rozmach osiągnęły w 1979 roku. Właśnie wtedy Lech Wałęsa, wówczas działacz WZZ Wybrzeża, zaapelował pod bramą nr 2 Stoczni Gdańskiej, by za rok każdy przyniósł kamień na budowę pomnika, jeśli ten nadal nie powstanie. Mało kto spodziewał się, że po dwunastu miesiącach w tym miejscu stanie już okazały monument upamiętniający ofiary Grudnia '70. Jak do tego doszło?

W sierpniu 1980 roku sprawa upamiętnienia ofiar grudniowej masakry została ponownie podjęta przez strajkujących robotników Wybrzeża – i to niezależnie od siebie w dwóch ośrodkach: Szczecinie i Gdańsku. Wśród postulatów Międzyzakładowego Komitetu Strajkowego w Szczecinie znalazł się m.in. punkt: „Ufundować przed bramą Stoczni tablicę upamiętniającą ofiary wydarzeń w grudniu 1970 r.”. Negocjująca z MKS komisja rządowa wyraziła na to zgodę. W Gdańsku protestujący poszli jeszcze dalej. Jednym z pierwszych żądań strajku rozpoczętego 14 sierpnia w Stoczni Gdańskiej było wzniesienie pomnika ku czci zabitych. W porozumieniu kończącym tę fazę protestu dyrektor stoczni zgodził się jedynie na montaż pamiątkowej tablicy.

Mimo że później żądanie budowy pomnika nie znalazło się w słynnych 21 postulatach gdańskich ani w samym porozumieniu, przygotowania do jego wzniesienia rozpoczęto jeszcze w trakcie strajku. 24 sierpnia gdański MKS nie tylko zatwierdził projekt pomnika, lecz także postanowił – nie czekając na zgodę władz PRL – że jego odsłonięcie nastąpi 16 grudnia 1980 roku. Jednocześnie rozpoczęto zbiórkę środków na ten cel. Dzień po zakończeniu strajku, 1 września, powołano Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku. Monument powstał w dużej mierze w czynie społecznym, a jego ostateczny wygląd różnił się od pierwotnej koncepcji, m.in. trzy krzyże zastąpiły planowane cztery. Warto dodać, że ponad 42-metrową konstrukcję zaprojektowano tak, by ewentualna decyzja władz o jego usunięciu była trudna do zrealizowania nawet przy użyciu ciężkiego sprzętu.

Warto w tym miejscu przypomnieć, że to niezwykle – jak na PRL – tempo było możliwe m.in. dzięki pozyskaniu – „poza kolejnością” – z jed-

nej z hut blachy nierdzewnej. Smaczku całej sprawie dodaje fakt, że miała on pójść do Związku Sowieckiego, rzekomo na sanitarki.

Uroczystości jedyne w swoim rodzaju

W tej sytuacji stało się jasne, że główne obchody 10. rocznicy Grudnia '70 odbędą się w Trójmieście. Były one – jak na realia PRL – wydarzeniem wyjątkowym. Trwały pięć dni, od 14 do 18 grudnia 1980 roku, obejmując za-

grudnia w kościołach w całym kraju w intencji Ojczyzny. Od 14 do 17 grudnia, każdego wieczoru, wykonywano również Requiem Mozarta – najpierw w kościele św. Brygidy w Gdańsku, a następnie w Operze Bałtyckiej i w kościele Najświętszego Serca Pana Jezusa w Gdyni.

Oficjalnym zakończeniem obchodów był okolicznościowy koncert słowno-muzyczny w kościele Najświętszego Serca Jezusowego w Gdyni, z udziałem artystów scen polskich. Na



FOT. PAP

równy Gdańsk, jak i Gdynię. Organizowały je Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku oraz powołany we wrześniu Społeczny Komitet Budowy Pomników Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni. Kulminacją obchodów było odsłonięcie i poświęcenie Pomnika Poległych Stoczniovców 16 grudnia w Gdańsku. Do ważnych punktów programu należały także uroczystości odsłonięcia tablicy pamiątkowej „Ofiar Grudnia 1970” u zbiegu ulic Czechosłowackiej i Marchlewskiego (obecnie Janka Wiśniewskiego) w Gdyni oraz wmurowanie następnego dnia kamienia węgielnego pod gdyński pomnik. Ogólnopolski charakter rocznicy podkreślały msze św. odprawione 14



podkreślenie zasługuje fakt, że także władze PRL zdecydowały się na wyjątkowe gesty. Prezydent Gdańska, w związku z obchodami 10. rocznicy Grudnia '70, zawiesił w dniach 16–17 grudnia działalność domów kultury, klubów młodzieżowych i innych podobnych instytucji, a 16 grudnia również kin i teatrów. Ponadto na odsłonięcie pomnika w Gdańsku skierowano – po raz pierwszy w historii – oficjalną delegację władz, z przewodniczącym Rady Państwa Henrykiem Jabłońskim na czele.

Dziennikarz, korespondent BBC w Polsce Tim Sebastian komentował później: „Po 10 latach oficjalnego milczenia w tej sprawie dziś naród i przedstawiciele władz zebrali się razem, by oddać cześć pamięci poległych robotników”. Jeszcze dosadniej pisał austriacki „Neue Osnabrücker Zeitung”, zauważając, że „odsłonięcie pomnika przed Stoczną im. Lenina w Gdańsku było bezprzykładnym wydarzeniem w świecie komunistycznym”, ponieważ „po raz pierwszy w historii wschodniego totalitaryzmu decydująca o wszystkim partia oddała cześć pamięci robotników, którzy przed 10

laty stracili życie na rozkaz kierownictwa partii komunistycznej”.

Na wyjątkowy, dotąd niespotykany gest zdecydował się także I sekretarz KC PZPR Stanisław Kania, który 30 grudnia 1980 roku złożył wieniec pod gdańskim pomnikiem. Kwiaty złożył również w Gdyni. Wyraził przy tym życzenie: „abyśmy nigdy nie musieli stawiać takich pomników”, a podczas spotkania z aktywnym partyjnym w Gdyni stwierdził, że „z wypadków grudnia 1970 płynie nauka, że należy uczynić wszystko, co możliwe dla uniknięcia konfliktu pomiędzy władzą i narodem”, dodając, iż „konfliktów tego rodzaju nigdy nie można rozwiązywać przez użycie siły”.

Dzień po zakończeniu strajku, 1 września, powołano Społeczny Komitet Budowy Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku

Gdańskie krzyże

Centralnym punktem obchodów było jednak odsłonięcie Pomnika Poległych Stoczniovców w Gdańsku. Wydarzenie to opisywały światowe media, m.in. brytyjskie „Times”, „Daily Telegraph”, „Guardian” i „Financial Times”. Trafiło ono również na pierwsze strony gazet we Włoszech, Francji, RFN czy Stanach Zjednoczonych. Radio Wolna Europa relacjonowało później: *Już od rana na teren uroczystości przybywali licznie ludzie niosąc polskie flagi narodowe, oznaki „Solidarności”. Niektórzy mieli czarne opaski na rękawach na znak żałoby po zabitych. Liczne grupy śpiewały pieśni religijne.*

Wojskowa Służba Wewnętrzna, uważnie obserwująca wydarzenia, meldowała, że do godzin popołudniowych przyjechało do Trójmiasta dziewięć specjalnych składów pociągów i ponad sto autobusów z delegacjami związkowymi. Według jej szacunków tego dnia w Gdańsku w obchodach uczestniczyło 400–500 tys. osób, zgromadzonych nie tylko pod pomnikiem, lecz także na okolicznych ulicach. Obecni byli przedstawiciele Kościoła, m.in. arcybiskup krakowski kard. Franciszek Macharski. Uroczystości rozpoczęły się o godz. 17 włączeniem syren i biciem dzwonów w gdańskich kościołach. Następnie przez głośniki zabrzmiała „Lacrimosa”, skomponowana specjalnie na tę okazję przez Krzysztofa Pendereckiego. Aktor Daniel Olbrychski odczytał Psalm 11 (Dawidowy) w przekładzie Czesława Miłosza, potem apel poległych, a na zakończenie fragment orędzia prymasa Polski Stefana Wyszyńskiego na Boże Narodzenie 1980 roku. Symbolicznego odsłonięcia pomnika dokonali przedstawiciele rodzin zabitych stoczniovców (Jan Łopata, Tadeusz Nastały, Ewa Ostrowska, Janina Tarczewska i Lech Widerlik). Jak to relacjonowało RWE: „Symboliczny akt odsłonięcia pomnika stanowiło przecięcie wstęgi, wtedy cały pomnik zo-



Wojskowa Służba Wewnętrzna szacowała, że w Gdańsku w obchodach uczestniczyło 400–500 tys. osób, zgromadzonych nie tylko pod pomnikiem, lecz także na okolicznych ulicach FOT. PAP

stał jasno oświetlony reflektorami”. Z kolei przewodniczący Solidarności Lech Wałęsa zapalił znic i wygłosił okolicznościowe przemówienie, stwierdzając, że pomnik ten uświadamia, iż konflikty powinny być rozwiązywane bez użycia siły. Po nim przemówił I sekretarz Komitetu Wojewódzkiego PZPR w Gdańsku Tadeusz Fiszbach, który stwierdził, że to, co się stało w Grudniu '70 powinno nie dzielić, lecz łączyć.

Przy dźwiękach orkiestry Marynarki Wojennej złożono wieńce w hołdzie poległym. Po odśpiewaniu „Bogurodzicy” mszę odprawił kard. Macharski, homilię wygłosił bp gdański Lech Kaczmarek, a sekretarz Episkopatu Polski bp Bronisław Dąbrowski odczytał telegram nadesłany przez papieża Jana Pawła II.

Co na to Moskwa?

Zakończenie oficjalnych uroczystości nie sprawiło, że uczestnicy od razu się rozeszli. Tim Sebastian relacjonował: „Do późnych godzin nocnych ludzie małymi grupkami przychodzili oglądać pomnik (...) Niektórzy trzymali straż wokół pomnika”. W Gdańsku nie doszło do żadnych incydentów. Choć – jak zanotowała czujnie WSW – przed rozpoczęciem uroczystości z grupy członków rodzin zabitych w grudniu 1970 roku padło w kierunku żołnierzy Wojska Polskiego stwierdzenie „ci, co do nas strzelali”, to odchodzących spod pomnika żołnierzy żegnały już oklaski i okrzyki „Niech żyje Wojsko Polskie”.

Władze PRL mogły odetchnąć z ulgą. Zachodni korespondenci podkreślali, że „panował nastrój spokoju i wielkiej godności”, a „organizacja była wzorowa”. Z ulgą reagowano też poza Polską. Wiedeńska „Die Presse”, podsumowując obchody, pisała: „Obawy, że ta potężna demonstracja jedności narodowej Polaków mogłaby wyczerpać cierpliwość Moskwy, ustąpiły na razie odczuciu ulgi”. Nie był to

zresztą jedyny taki komentarz w zachodniej prasie.

Gdynia w cieniu Gdańska

W cieniu uroczystości gdańskich odbywały się obchody w Gdyni. Rozpoczęły się 17 grudnia o godzinie 5 rano apelem poległych przy przystanku SKM Gdynia Stocznia, gdzie przed dziesięć laty doszło do najbardziej krwawych wydarzeń w mieście. Jak komentował później na antenie RWE Tadeusz Nowakowski (pod pseudonimem Tadeusz Olsztyński), „niezbyt zadowoleni byli zagraniczni dziennikarze, iż musieli się tak rano zerwać (niektórzy w ogóle nie kładli się spać

Do późnych godzin ludzie małymi grupkami przychodzili oglądać pomnik (...) Niektórzy trzymali straż wokół pomnika. W Gdańsku nie doszło do żadnych incydentów

poprzedniej nocy), aby zdążyć na uroczystości”. Po krótkim apelu odprawiono specjalną mszę rocznicową, podczas której kazanie wygłosił bp pomocniczy chełmiński Zygfryd Kowalski. Następnie zorganizowano konferencję prasową dla dziennikarzy krajowych i zagranicznych z udziałem rodzin ofiar Grudnia 1970 roku. W miejscu planowanej budowy Pomnika Ofiar Grudnia '70 przy ulicy Czechosłowackiej wmurowano kamień węgielny. Przewodniczący SKBPPG 1970, Jan Kozicki, wygłosił krótkie przemówienie, a aktor Teatru Wybrzeże Tadeusz Gwiazdowski odczytał akt erekcyjny. Podczas uroczystości aktorzy z Gdańska i Gdyni recytowali wiersze Miłosa, Juliusza Słowackiego

i Władysława Broniewskiego, a uczestnicy odśpiewali Rotę i hymn narodowy. Gdyńskie obchody zakończyła msza celebrowana przez bp. Dąbrowskiego z kazaniem kard. Macharskiego. Według SB uczestniczyło w nich około 50 tys. osób, natomiast Radio Wolna Europa szacowało tę liczbę na co najmniej 100 tys. W uroczystościach wzięła udział delegacja władz PRL, której przewodniczył tym razem wicepremier Mieczysław Jagielski. Solidarność reprezentował, podobnie jak w Gdańsku, Lech Wałęsa.

Szczecińskie obchody

Również w Szczecinie odprawiono rocznicową mszę w katedrze św. Jakuba. Główne uroczystości odbyły się przy bramie Stoczni im. Adolfa Warskiego. Przemówienia wygłosili przewodniczący Międzyzakładowej Komisji Robotniczej NSZZ „Solidarność” Marian Jurczyk, który podkreślił, że wmurowywana tablica „jest nie tylko dowodem pamięci i drogowskazem w przyszłość, ale i przestrogą, by to, co wydarzyło się przed 10 laty w Szczecinie, nigdy się już nie powtórzyło”, oraz wojewoda szczeciński Tadeusz Paluszkievicz, reprezentujący władze z wicepremierem Stanisławem Machem na czele. Na bramie głównej stoczni odsłonięto okolicznościową tablicę.

Według szacunków WSW w uroczystościach uczestniczyło około 20–25 tys. osób, w tym 160 delegacji z całego kraju. Podobnie jak w Gdyni recytowano wiersze i odśpiewano Bogurodzicę. Zwieńczeniem obchodów była msza odprawiona przez bp. Kazimierza Majdańskiego, ordynariusza diecezji szczecińsko-kamieńskiej. W ramach uroczystości zorganizowano też pochód na Cmentarz Centralny, gdzie proboszcz parafii katedralnej, ks. Roman Kostynowicz, odprawił modlitwy i poświęcił groby ofiar Grudnia 1970 roku.



Monumentalne cyfry Pomnika Ofiar Grudnia 1970 w Gdyni zostały wykonane przez załogę Stoczni im. Komuny Paryskiej z użyciem blachy nierdzewnej, wyprodukowanej przez pracowników Huty Stalowa Wola FOT. PAP



W uroczystości w Gdańsku Daniel Olbrychski odczytał m.in. Psalm 11 (Dawidowy) w przekładzie Czesława Miłosza FOT. PAP

Elbląg również pamiętał

Obchody rocznicowe zorganizowano również w Elblągu. Najważniejszym momentem było odsłonięcie Pomnika Ofiar Grudnia 1970. Dokonała tego Józefa Sawicz, matka zabitego przed dziesięciu laty Tadeusza Sawicza. Okolicznościowe przemówienia wygłosili przewodniczący Międzyzakładowego Komitetu Założycielskiego NSZZ „Solidarność” w Elblągu Ryszard Kalinowski, I sekretarz KW PZPR Jerzy Rusiecki oraz – tradycyjnie już – Lech Wałęsa. W ramach obchodów odprawiono także uroczystą mszę w kościele św. Mikołaja w intencji ofiar Grudnia 1970 roku. Celebransami byli bp Kaczmarek, a kazanie wygłosił proboszcz Mieczysław Józefczyk. W tym samym kościele odbył się również rocznicowy koncert organowy. Elbląg-

Gdyńskie obchody zakończyła msza celebrowana przez bp. Dąbrowskiego z kazaniem kard. Macharskiego. Według SB uczestniczyło w nich około 50 tys. osób

ską specyfiką było uroczyste zebranie komisji zakładowych NSZZ „Solidarność”. Ponadto w miejscowym Liceum Muzycznym zorganizowano koncert muzyki kameralnej, z którego dochód przeznaczono na budowę pomnika. Według Wojskowej Służby Wewnętrznej uczestniczyło w nim około 300 osób, w tym pięciu żołnierzy służby zasadniczej, którzy – mimo formalnego zakazu wydawania przepustek – otrzymali zgodę dyżurującego oficera, a nawet uczestniczyli w przygotowaniu sali. Łącznie, według WSW, w elbląskich obchodach mogło wziąć udział 8–9 tys. osób, natomiast Associated Press szacowała tę liczbę na około 20 tys.

Flagi przepasane kirem

Oczywiście 10. rocznicę Grudnia ’70 obchodzono także poza Wybrzeżem. Z informacji SB wynika, że „w pozo-

stałych regionach kraju rocznica ta została uczczona poprzez wywieszanie na budynkach zakładów flag narodowych przewiązanych kirem, syrenami fabrycznymi początkującymi minutę ciszy, noszeniem opasek biało-czerwonych lub czarnych przez pracowników, w niektórych miejscowościach odbywały się nabożeństwa, wieczory artystyczne, wywieszano okolicznościowe hasła, oświadczenia w gablotach lub nadawano komunikaty w zakładowych radiowęzłach itp.” W Giżycku – jak odnotowała Wojskowa Służba Wewnętrzna – włączono nawet syreny obrony cywilnej. Ukazały się również specjalne, rocznicowe numery prasy związkowej.

Obchody na emigracji

Na koniec warto przypomnieć, że obchody rocznicowe zorganizowała również polska emigracja na Zachodzie. W kościele św. Andrzeja Boboli w Londynie odprawiono okolicznościową mszę z kazaniem ks. prałata Witolda Jareckiego. Wśród uczestników był m.in. ostatni ambasador RP w Wielkiej Brytanii Edward Raczyński. Po nabożeństwie odbyło się rocznicowe spotkanie w sali parafialnej. W Paryżu kilkaset osób wzięło udział w marszu pod pomnik Adama Mickiewicza, gdzie złożono kwiaty, wygłoszono przemówienia, a aktor recytował – podobnie jak w Gdańsku – wiersz Czesława Miłosza „Który skrzywdziłeś”, a także po francusku słowa: „Pan da siłę swojemu ludowi. Pan da swojemu ludowi błogosławieństwo”, będące fragmentem Psalmu 29. Odśpiewano również polski hymn, który – jak informowało Radio Wolna Europa – z zapalem zaintonowali „liczni obecni paryscy śpiewacy”. Tego samego dnia w wypełnionym po brzegi polskim kościele odprawiono uroczystą mszę. ■

dr Grzegorz Majchrzak jest pracownikiem Biura Badań Historycznych IPN



FOT. PAP

Solidarność jest naszym zobowiązaniem



Wojciech Brojer
FOT. ARCHIWUM PRYWATNE

Być człowiekiem Solidarności, to szanować ludzi, także tych słabszych społecznie, ekonomicznie, intelektualnie. Starać się wspierać ich, bronić, nie zamykać się w bańkach elit, a nade wszystko, nie oddawać się pogardzie – powiedział dr Wojciech Brojer, internowany w stanie wojennym działacz Solidarności, jeden z redaktorów „Tygodnika Solidarność”.

Co oznacza dla pana bycie człowiekiem Solidarności?

Solidarność jako wartość społeczna jest naszym zobowiązaniem. Wynika bowiem z szacunku dla tradycji europejskiej kultury, opartej na kategoriach platońskich (Prawda, Dobro, Piękno) i cnotach św. Pawła (Wiara, Nadzieja, Miłość) i – w moim przekonaniu – głęboko tkwi w trudnej, ale

godnej szacunku historii Polski. Również ta Solidarność winna być pisana z dużej litery. Być człowiekiem Solidarności, to szanować ludzi, także tych słabszych społecznie, ekonomicznie, intelektualnie. Starać się wspierać ich, bronić, nie zamykać się w bańkach elit, a nade wszystko, nie oddawać się pogardzie. Tego nauczyła mnie lektura listów w „Tysolu”.

Kiedy i dlaczego postanowił pan zaangażować się w działalność opozycyjną?

Moi rodzice poznali się w czasie okupacji na nielegalnych kompletach w szkole chemicznej Pelagii Szymonikowej. Razem – jako dwudziestolatki – brali udział w Powstaniu Warszawskim. Ojciec – Zbigniew Brojer, walczył w batalionie „Zośka”.

23 sierpnia został ranny. Mama – nomen omen – Zosia była sanitariuszką. Nie chcieli jednak o tym ze mną rozmawiać, choć plac przy Wareckiej nosił już nazwę Powstańców Warszawy. Trzymali mnie z dala od polityki. Przyspieszony kurs obywatelski otrzymałem jako niespełna dziesiętnastolatek. W 1968 roku, na ulicy. Bardzo podobnie jak moi rodzice.

Domyślałem się, że chodzi o wydarzenia marcowe...

Tak. W 1967 roku zdałem maturę i po egzaminach na Politechnikę Warszawską rozpocząłem w październiku studia na Wydziale Elektroniki. 8 marca 1968 o godzinie 12 przypadkowo znalazłem się na dziedzińcu Uniwersytetu Warszawskiego, na słynnym do dzisiaj wiecu protestacyjnym z powodu zakazu wystawiania mickiewiczowskich „Dziadów” w reżyserii Kazimierza Dejmka w Teatrze Narodowym. Cały dziedziniec studentów, źle słyszalne przemówienia. Później dowiedziałem się, że przemawiał Adam Michnik, nazwisko znane mi wówczas jedynie ze szkolnej ławy z podręcznika historii autorstwa Heleny Michnik, tendencyjnego zresztą. Wiec przebiegał spokojnie, lecz po jego rozwiązaniu na dziedziniec nagle wjechały dwa autokary, z których wysypały się grupy „cywilów” z pałkami milicyjnymi w dłoniach...

Ciekawi cywile... z milicyjnymi pałkami...

Równie cywilny dowódca przez szczerzątkę nazywał ich „ochotnikami z Woli”. Starali się szczególnie bić dziewczyny; wiadomo, 8 marca to Międzynarodowy Dzień Kobiet. Ale nie tylko, bo i ja w pewnym momencie poczułem dwa bardzo bolesne uderzenia pałkami po plecach. Złapano mnie pod pachy, odebrano legitymację studencką politechniki, ale puszczono mnie wolno. Choć wspomniany dowódca zapowiedział mi, że

będę relegowany z uczelni. Ciekawe, że w ten charakterystyczny sposób władza komunistyczna respektowała autonomię uniwersytetu. Od tego mieli ROMO (Rezerwowe Oddziały Milicji Obywatelskiej). Ani jeden umundurowany milicjant nie musiał pojawić się w tej akcji na dziedzińcu uczelni.

Co się wtedy w panu zmieniło?

Już z pełniejszą wiedzą o sytuacji, 11 marca uczestniczyłem w wiecu studentów w auli politechniki, gdzie zapowiedziano strajk okupacyjny w proteście przeciw brutalności „ochotników z Woli” kilka dni wcześniej na UW. Podczas tego wiecu z wielu mówców byłem jedynym, który odradzał zebranym podejmowania strajku.

Dlaczego?

Obawiałem się i ostrzegałem, że władze odetną protestującym elektryczność i wodę na terenie uczelni, przez co wszystko skończy się porażką. Protest rozpoczął się 21 marca, trwał 3 dni. Na szczęście nikt nikomu niczego nie odciał. Zacząłem jednak podejrzewać, że władzy zależało nie tyle na uspokojeniu nastrojów, co na ich podgrzewaniu. Do dzisiaj tak uważam.

Co działo się później?

W kolejnych dniach protesty przeniosły się na ulice i – atakowane przez uzbrojone po zęby oddziały ZOMO, zwane wówczas „gołędzinowcami” – przeradzały się w zamieszki. Szliśmy od uniwersytetu do domu partii, Krakowskim Przedmieściem i Nowym Światem, paląc gazety i wykrzykując słynne hasło: „Kur wie lepiej”, co było aluzją do red. Tadeusza Kura, który pisał na temat naszych protestów wyjątkowo obrzydliwe artykuły bodaj w „Żołnierzu wolności”.

Bijatyki z milicją zaczynały się na wysokości Świętokrzyskiej i intensyfikowały przy Ordynackiej, w okolicy domu, w którym wówczas mieszkiałem. Zachowania „gołędzinowców”

przypominały taktykę „ochotników z Woli”. Atakowali nie tylko studentów, ale też przypadkowo znajdujące się na chodnikach kobiety, wracające z pracy lub uwijające się wokół zakupów w sklepach, zamykanych zresztą przez personel w czasie demonstracji. Kiedy mijalem swój dom, idąc środkiem ulicy z hasłami na ustach, mój ojciec schodził do naszej bramy, zgarbiał z ulicy przerażone kobiety i prowadził je do mieszkania na drugim piętrze, gdzie zomowcy już nie docierali, częstował herbatą i uspokajał. Raz nawet natknął się na takiego wojownika, ale ten – szczęśliwie – nim dosięgnął ojca pałką, potknął się i przewrócił, i tylko z ogromnym trudem udało mu się powstać. Ojciec opowiadał potem, że napastnik wyraźnie był „na wspomaganie”.

Usunięto pana z uczelni?

Na szczęście, dzięki łagodności władz wydziału, nie doszło do tego. Elektronikę skończyłem z tytułem magistra inżyniera, ale techniczne studia obudziły we mnie jedynie duszę humanisty. Po dwuletnim epizodzie nauczycielskim udało mi się pod koniec 1975 roku zdać egzaminy na studia doktorskie Instytutu Historii PAN. Trafiłem do pracowni historii średniowiecza, pod skrzydła (jeszcze długo nie) profesora Bronisława Geremka. Nie udało mi się ukończyć rozprawy doktorskiej ani w przepisowym trylekciu, ani – po przedłużeniu – w roku czwartym (ukończyłem ją dopiero w roku 2003). Od 1980 roku szukałem nowego zajęcia. Tymczasem pojawiła się Solidarność i na rynku pracy nie było łatwo.

Jak trafił pan do „Tygodnika Solidarność”?

W kręgu znajomych pojawiła się na początku 1981 roku informacja, bodaj od Stanisławy Domagalskiej, że Tadeusz Mazowiecki tworzy „Tygodnik Solidarność”. Zgłosiłem się. Nie mia-

łem żadnego doświadczenia dziennikarskiego, więc zatrudniono mnie w Dziale Listów i Interwencji. Był to zespół kilkunastu osób kierowany przez Wandę Wojnicz. Szybko okazało się, że podjęliśmy się niemal morderczej pracy, nieraz po 14 godzin na dobę. Nasi czytelnicy uznali „Tysol” za gazetę nie tylko rzetelnie informującą, ale także za zespół dziennikarski, który jest wrażliwy na ich problemy oraz za instytucję, która potrafi wywierać wpływ na peerelowskie urzędy i władze.

W ciągu ośmiu miesięcy działania przyszło do redakcji ponad 10 tys. listów z czego znaczną część stanowiły nadesłane opasłe koperty, pełne dokumentacji gromadzonej przez ludzi skrzywdzonych przez peerelowskie urzędy, instytucje, nierzadko przez milicję, prokuratury i sądy. Miałem tu przyspieszony kurs socjologii i prawa.

Co ma pan na myśli?

Odnajdowałem w tych przesyłkach ocean nieszcześcia ludzkiego i urzędniczej niegodziwości. Ludzie odsłaniaли się, opisywali ze szczegółami swoje perypetie, przysyłali oryginały dokumentów, bo dostęp do kserografów był wówczas sporadyczny. Czuliśmy na sobie ogromną odpowiedzialność. Odpisywaliśmy do nich listy z poradami prawnymi, układaliśmy pisma interwencyjne w imieniu Tygodnika. Wyjeżdżaliśmy na osobiste wizyty w Warszawie i okolicach do odpowiednich organów i urzędów z planami negocjacyjnymi, widząc, że nasze interwencje robią wrażenie na komunistycznych instytucjach i samorządach.

Niestety, zdołaliśmy podjąć jedynie ułamek spraw, może 200–300. Do dzisiaj wraca do mnie trauma naszej bezradności. Po niemal pół wieku. Kto wie, czy stan wojenny i likwidacja Tygodnika nie uratowały mnie (nas) przed depresją.

Jak wspomina pan 13 grudnia 1981 roku?

Szok. Niedziela rano. Kiedy obudziłem się, pierwszym odruchem był lęk o ludzi Tygodnika. W sobotę w Gdańsku odbywało się posiedzenie Komisji Krajowej Solidarności. Pojechała tam cała wierzuszka gazety. Na pewno Mazowiecki, Dworak, Wyszkowski. Nie miałem wątpliwości, że junta zacznie od nich. Nie było wiadomo co się z nimi dzieje. Nie wiedziałem też, jaki los nam, pozostałym, przypadnie. Nie działały telefony, komunikacja miejska, obowiązywała godzina milicyjna.

Podjechaliśmy z Ewą (moją żoną, która jako jedna z niewielu z naszego kręgu miała samochód i prawo jazdy) w pobliże redakcji na Batorego. Potem – spiralą i zygakiem, ostrożnie podchodziliśmy do budynku, aby zorientować się, czy nie zastawiono tam kotła, by nas wszystkich interesariuszy aresztować. Okazało się, że redakcja nie jest ani otoczona przez milicję czy wojsko, ani pilnowana przez funkcjonariuszy służb. Była otwarta. Jedynie w pobliżu, na rogu Batorego i Niepodległości stał zaparkowany polonez ze znacząco podniesioną anteną. Prawdopodobieństwo pluskiew i podsłuchu w budynku graniczyło z pewnością. W redakcji zastaliśmy już kilkunastu pracowników, którzy przyszli – jak my – rozejrzeć się w sytuacji. Potwierdziło się niestety: redaktor naczelny z czterema członkami redakcji zostali w Gdańsku aresztowani.

Mieliście jakiś plan działania?

Przedziwna taktyka władzy wobec Tygodnika budziła u wszystkich podejrzenia, że mogą być wobec nas podjęte próby namowy do kolaboracji i kontynuacji – przez przynajmniej część dotychczasowego zespołu – wydawania „Tysola” z odpowiednim nachyleniem politycznym. Poza zasięgiem podsłuchu, w pobliskiej restauracji, podjęliśmy decyzję, by spotykać

się co dzień i przygotować gazetkę (ulotkę) z oświadczeniem redakcji, że naczelny Tadeusz Mazowiecki został uwięziony, więc jakkolwiek publikacja o nazwie „Tygodnik Solidarność” przed jego uwolnieniem i bez jego sygnatury będzie fałszywką i prowokacją.

Należało ustalić treść, formę, techniczny sposób powielenia takiej gazetki oraz drogę jej jak najszybszego kolportażu. Na miejsce spotkań w najbliższym czasie zostało wyznaczone nasze mieszkanie na Ordynackiej. Wobec kłopotów komunikacyjnych był to punkt topograficznie dla wszystkich uczestników dość wygodny, równie bliski i równie daleki.

Myślę teraz o tej korespondencji, która spływała do redakcji, gdyby dostała się w nieodpowiednie ręce, byłoby nieciekawie.

Do tego zmierzam. Należało jak najszybciej ukryć listy naszych czytelników. Mieliśmy świadomość, że dokumenty te, w chwili gdy dostaną się w ręce Służby Bezpieczeństwa, mogą stać się dla autorów poważnym zagrożeniem. Udało się nam nawiązać kontakt z jezuitami z Rakowieckiej. Przez trzy dni, dyskretnie, wraz z dziennikarzem Piotrem Stańczykiem, przewoziliśmy maluchem Ewy korespondencję Tygodnika do klasztornych podziemi. Udało się również przewieźć dwa kserografy należące do mojego działu – nieoceniona pomoc w późniejszej działalności podziemnej.

Niemal filmowa historia. Wiadomo co stało się z tymi listami?

Niestety nie. W niewyjaśnionych okolicznościach wyparowały z klasztornych piwnic. Ojcowie nie potrafili tego po latach wyjaśnić. Zapewnili tylko, że nie dostały się w łapy esbeków...

Co działo się potem?

Spotykaliśmy się na Ordynackiej. Niemal codziennie z wyjątkiem świąt Bożego Narodzenia. Tego dnia wieczor-

rem, po Wigili, spotkaliśmy się w mieszkaniu Wandy Wojnicz, na Senatorskiej. Znów rozmowy, ustalenia. Oprócz głównego naszego zadania, otrzymaliśmy od zaprzyjaźnionego wówczas z nami prawnika, Marka Safjana, adiunkta na Wydziale Prawa UW i jego żony Doroty, propozycję druku w naszej gazecie ich orzeczenia o niezgodności dekretu o stanie wojennym z Konstytucją PRL.

Tekst osobiście napisany przez autora na naszej maszynie do pisania, z moimi ręcznymi poprawkami, Ewa schowała do torebki, by zaraz po Nowym Roku w Instytucie Hematologii na Chocimskiej, przepisać go na maszynie niepowiązanej z kręgiem „Tysoła” i powielić na instytutowym kserografie. Wiedzieliśmy, że milicja potrafi identyfikować maszynę z analizy tekstu na niej napisanego. Maszynopis miał odebrać pracownik „Tysoła” od wszelkich spraw technicznych, nieżyjący już niestety Tadeusz Kopczyński (późniejszy kierownik Jarosława Kaczyńskiego) i powielić na naszym kserografie w pobliskich jezuitów.

Niezależnie od naszej gazetki, chcieliśmy to orzeczenie prawne rozsyłać po mieście w formie ulotki.

Zanim jednak do tego doszło, bodaj 30 grudnia Piotrek Rachtan – jeden z członków naszej grupy, przyprowadził na Ordynacką znajomego z Regionu Mazowsze Solidarności, o nazwisku Sigismund, który miał mieć dobre kontakty z pewną drukarnią, gdzie można by było zrobić skład i powielić naszą gazetkę. Umówiliśmy się, że zaraz po Nowym Roku nawiążemy z nimi kontakt w tej sprawie. Po wyjściu znajomego postanowiliśmy, że nazajutrz, w Sylwestra – tym razem łaskawie zawieszono godzinę milicyjną – spotkamy się o dziesiątej wieczorem, by bez wesołości przywitać razem Nowy Rok i wypić „na pohybel wronie”, jak już wówczas zwykło się określać juntę stanu wojennego.

Wkrótce został pan aresztowany.

Sylwester nie potoczył się według naszego scenariusza... O szóstej wieczorem zapukało do drzwi dwóch milicjantów i trzech cywilów powołujących się na SB. Legitymacje okazali, były przekonujące. Nakaz rewizji był podpisany nie przez prokuratora, lecz przez komendanta śródmiejskiej milicji. Nie klóciłem się. Jedynym moim pragnieniem było jak najszybsze pozbycie się ich z domu. Chodziło o to, by rewizja nie zmieniła się w kocioł o godz. 22, kiedy mieli pojawić się nasi sylwestrowi goście. Rewizja przebiegała sprawnie. Chłopcom również zależało na czasie.

Znaleźli coś?

Wygarnęli z biblioteki całe szeregi książek i broszur, wydanych w okresie Solidarności, które uważali za „nielegal” i załadowali do brezentowych worków. Spisali tylko niektóre, te grubsze. Nie protestowaliśmy. Zajrzeli do biurerek. Niestety także do naszych torebek i teczek. Znaleźli u Ewy feralny świstek z tekstem orzeczenia konstytucjonalnego Safjanów.

Na koniec zgarnęli dwie maszyny do pisania. Jedną naszą i drugą, którą kilka dni wcześniej przyniósł nasz znajomy z Regionu Mazowsze, Jarek Kosiński, uznając, że nasze mieszkanie jest mniej trefne niż jego. Było po ósmej wieczorem, gdy po podpisaniu protokołu, jeden z esbeków poinformował nas, że wobec znalezienia podczas rewizji w naszym mieszkaniu dektów, zostajemy aresztowani. Zakuli nas w kajdanki, wyprowadzili, wsadzili do milicyjnego fiata i wywieźli do komendy na Mostowie.

Mój ojciec w czasie całego seansu siedział na fotelu błąd jak papier. Nawet nie zdołał się podnieść, gdyśmy się z nim żegnali. Wiem, że w podobnym stanie zastali go nasi sylwestrowi goście, którzy – szczęśliwie, już bezpieczni – przyszli na Ordynacką. Może przypominały mu się jakieś

sceny z okresu niemieckiej okupacji? A może z okresu utrwalania władzy ludowej? Dawny AK-owiec niejedno widział i przeżył, choć nie zwykł o tym opowiadać. To tylko my się rozgadujemy, bo ... może nie było to wszystko takie straszne?

Czy dowiedział się pan kiedyś, kto na was doniósł?

Kto nam zepsuł Sylwestra i unieważnił nasze ponoworoczne, wielkie plany, dowiedziałem się nadszperkownie szybko. Otóż esbek, który dwa dni później przesłuchiwał mnie w Pałacu Mostowskich, raczył z ironicznym uśmiechem wtrącić w „rozmowę” takie zdanie: „Niech pan pamięta, że św. Piotr nie zawsze przynosi dobre wiadomości”. Stało się dla mnie jasne, że była to aluzja do owego Sigismunda, którego przyprowadził na Ordynacką nieświadomy, z kim ma do czynienia, Piotr Rachtan. Sigismund okazał się kapusiem i zdążył nieźle narozrabiać nim go zdekonspirowano.

Czy kiedykolwiek żałował pan swojego zaangażowania?

Nigdy. Miałem oczywiście chwile zwątpienia. Do dziś mam poczucie odpowiedzialności i winy za dramatyczne losy mego ojca i Ewy. Oboje ponieśli konsekwencje moich wyborów i działań. To była ich – nie do końca może dobrowolna – danina solidarności. Nigdy przecież nie spotkałem się ze śladem ich protestu. Ewa wręcz mi sekundowała i aktywnie pomagała. Nasze działania nadawały sens naszemu ówczesnemu życiu i do dzisiaj ten sens nam towarzyszy. Zachowaliśmy się – sądzę – jak trzeba. A poza tym, jak wspominałem: „może nie było to wszystko takie straszne”. Pokolenie naszych rodziców przeszło znacznie trudniejszą próbę.

**Rozmawiał
Mateusz Wyderka**

Norymberga – sąd nad III Rzeszą

TEKST | Norbert Nowotnik



Wojna, którą zamierzamy potępić i ukarać, była prowadzona z tak zimną krwią, była tak w istocie swej koszmarna, tak ducha zapierająca, że cywilizacja nie może tego zignorować – mówił przed 80 latami, na rozpoczęciu procesu w Norymberdze, główny oskarżyciel amerykański Robert H. Jackson. Jego słowa wyznaczyły ton całego postępowania, które na zawsze odmieniło myślenie o odpowiedzialności za zbrodnie wojenne.

Proces norymberski stał się pierwszym w historii międzynarodowym trybunałem, który nie tylko ujawnił pełną skalę państwowego terroru, lecz także ustanowił przełomową zasadę: nawet przywódcy państw nie stoją ponad prawem. Postępowanie to – prowadzone wobec tych, którzy kierowali machiną zbrod-

ni – zbudowało fundament współczesnego prawa międzynarodowego i do dziś pozostaje symbolem triumfu prawa nad przemocą.

Jak rozliczyć zbrodnie?

W maju 1945 roku, pół roku przed rozpoczęciem procesu norymberskiego, ogłoszono bezwarunkową kapitulację

Niemiec, co formalnie zakończyło wojnę w Europie. Wraz z upadkiem III Rzeszy pojawiło się jednak pytanie, jak postąpić z przywódcami nazistowskich Niemiec. W obliczu ujawnianych zbrodni, ale także wstrząsających obrazów ofiar z wyzwolanych obozów koncentracyjnych, opinia publiczna w wielu krajach opowiadała się za ich



FOT. EAST NEWS

taj dojście Hitlera do władzy, a dwa lata później uchwalono tzw. ustawy norymberskie, pozbawiające Żydów ochrony prawnej i własności. To tu miała budować się potęga tysiącletniej III Rzeszy Niemieckiej. Również



Hjalmar Schacht podczas przesłuchania świadków na sali rozpraw FOT. EAST NEWS

w Norymberdze organizowano wielkie coroczne kongresy NSDAP – nazistowskiej partii, która na czele z Adolfem Hitlerem, sprawowała w Niemczech totalitarną władzę. Alianci uznali zatem, że to właśnie w Norymberdze powinno dojść do wymierzenia sprawiedliwości jego przywódcom.

W tamtejszym Pałacu Sprawiedliwości – jednym z nielicznych ocalałych od bomb budynków – oskarżeni mieli stanąć przed międzynarodowym trybunałem, w którego skład weszli sędziowie i prokuratorzy reprezentujący cztery państwa alianckie. Każde z nich – Wielka Brytania, Stany Zjednoczone, Związek Sowiecki i Francja – wystawiło własny zespół oskarżycielski. Zespoły te działały wspólnie, choć kluczową rolę w prowadzeniu sprawy powierzono prokuratorom amerykańskim i brytyjskim. Do momentu ogłoszenia wyroku było jednak jeszcze bardzo daleko. Rozprawy toczyły się aż do 1 października 1946 roku.

Podsądni, m.in. Göring, Ribbentrop, Frank

Tuż po wojnie alianci poszukiwali około miliona osób związanych z apa-

natychmiastową egzekucją. Amerykanie, którzy chcieli nadać powojennemu światu nowy porządek oparty na prawie, a nie na odwecie, zaproponowali jednak inne rozwiązanie – proces, który pozwoliłby nie tylko ukarać winnych, ale też udokumentować zbrodnie i przedstawić prawdę światu. Uznano, że jedynie sądowa prezentacja faktów zapobiegnie w przyszłości negowaniu niemieckich zbrodni. – *Współczesna cywilizacja daje człowiekowi do rąk nieograniczone bronie zniszczenia... Każdy akt uciekania się do wojny, do każdego rodzaju wojny, jest uciekaniem się do środków, które w swej istocie są zbrodnicze* – zaznaczył Jackson.

Każdy akt uciekania się do wojny, do każdego rodzaju wojny, jest uciekaniem się do środków, które w swej istocie są zbrodnicze

Norymberga – kolebka nazizmu

Rozprawę postanowiono przeprowadzić w Norymberdze – mieście, które uchodziło za symbol narodowego socjalizmu. W 1933 roku świętowano tu-

ratem nazistowskich Niemiec, lecz w pierwszym procesie norymberskim przed obliczem sądu za zbrodnie przeciwko ludzkości i pokojowi stanęła jedynie ich garstka. Mimo że zwycięskie mocarstwa, które rozgromiły III Rzeszę i podporządkowane jej struktury, przygotowały na czas kapitulacji obszerne listy zawierające nazwiska setek tysięcy ludzi odpowiedzialnych za funkcjonowanie systemu terroru.

Losy Hitlera, Heinricha Himmlera czy Josefa Goebbelsa były już przesądzone – wszyscy zdążyli odebrać sobie życie. Mimo to, spośród ogromnej liczby osób ściganych, na ławie oskarżonych zasiadło zaledwie około dwudziestu – przy czym jedna z tych osób była sądzona zaocznie. W tym gronie na czele listy znajdował się Hermann Göring – generał SS, szef Luftwaffe i następca Hitlera. Obok niego przed trybunałem stanęli m.in. minister spraw zagranicznych Rzeszy Joachim von Ribbentrop oraz generalny gubernator okupowanych ziem polskich Hans Frank. „Bestie w ludzkiej skórze” oskarżono o popełnienie czterech rodzajów zbrodni: uczestnictwo w spisku w celu popełnienia zbrodni międzynarodowej, zbrodnie przeciwko pokojowi, zbrodnie wojenne oraz zbrodnie przeciwko ludzkości.

Przełom w prawie międzynarodowym

Proces norymberski miał jednak wyjątkowy charakter. Po raz pierwszy w historii do prawa międzynarodowego wprowadzono zasadę, że najwyżsi przywódcy państw mogą ponosić osobistą odpowiedzialność karną za swoje decyzje i działania. – *Chcielibyśmy jasno stwierdzić, że nie zamierzamy obwiniać narodu niemieckiego. Gdyby szerokie rzesze narodu niemieckiego chętnie przyjęły program partii narodowosocjalistycznej, niepotrzebne byłyby SA (Oddziały Szturmowe, czyli bojówki NSDAP odpowiedzialne za szerzenie terroru w*

Niemczech w latach 30.), niepotrzebne byłyby również obozy koncentracyjne i gestapo – stwierdził oskarżyciel amerykański Jackson. Mimo że alianci nie przyjęli założeń o zbiorowej winie narodu niemieckiego, to dla Niemców główny proces norymberski, jak i 12 kolejnych, przez wiele lat nie był dochodzeniem sprawiedliwości, ale sądem „zwycięzców nad zwyciężonymi”.



Hermann Göring, Rudolf Hess, Joachim von Ribbentrop i Wilhelm Keitel przed Międzynarodowym Trybunałem Wojskowym w Pałacu Sprawiedliwości w Norymberdze
FOT. EAST NEWS

„Bestie w ludzkiej skórze” oskarżono o uczestnictwo w spisku w celu popełnienia zbrodni międzynarodowej, zbrodnie przeciwko pokojowi, zbrodnie wojenne oraz zbrodnie przeciwko ludzkości

Poza Jacksonem oskarżycielami byli: Hartley Shawcross (Wielka Brytania), Roman A. Rudenko (ZSRS) i Charles Dubost (Francja). Z kolei w skład Trybunału weszli przedstawiciel Wielkiej Brytanii Geoffrey Lawrence (przewodniczący), USA – Francis Biddle,

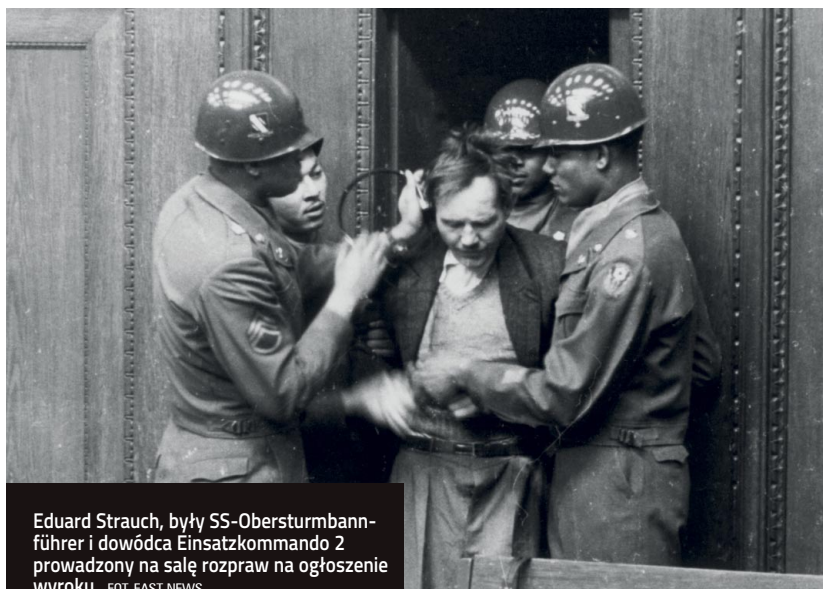
ZSRS – Iona T. Nikitczenko i Francji – Henri Donnedieu de Vabres. Sędziowie zgodnie z tradycją anglosaską byli wyłącznie arbitrami, nie mieli dostępu do akt dochodzenia.

„Niewinni” kontra przytłaczająca dokumentacja zbrodni

Oskarżeni konsekwentnie odrzucali zarzuty. Na pytania przewodniczącego odpowiadali krótko: „nie”, „nie-

winny”. Tylko nieliczni wygłaszali dłuższe, defensywne oświadczenia, podkreślając jak np. Göring, że „w świetle aktu oskarżenia nie czuje się winny”. Większość powtarzała, że jedynie wykonywała rozkazy. Frank, już w celi, mówił o sobie jako o „królu bez władzy”, choć przyznawał a propos zbrodni, że „dało się coś wyczuć”. Jedni więc zaprzeczali wiedzy o zbrodniach, inni – jak Frank – przeczuwali ich skalę.

Proces w Norymberdze był jednak poprzedzony trwającym jeszcze podczas wojny gromadzeniem materiału dowodowego. W akcie oskarżenia przywołano liczne przestępstwa hitlerowców, a same rozprawy nieustannie obnażały ich okrucieństwa. Najbar-



Eduard Strauch, były SS-Obersturmbannführer i dowódca Einsatzkommando 2 prowadzony na salę rozpraw na ogłoszenie wyroku FOT. EAST NEWS

dziej poruszające fragmenty norymberskich zeznań z 1945 roku to te, w których oskarżeni opisują wprost dokonane zbrodnie wojenne i akty ludobójstwa. Wśród nich szczególnie miejsce zajmuje świadectwo Hermana Friedricha Gräbe – niemieckiego inżyniera, który od jesieni 1941 do początku 1944 roku kierował oddziałem

Rozebrani ludzie stali dookoła, trzymając się w grupach rodzinami, całowali się na pożegnanie i czekali na znak innego esesmana



przedsiębiorstwa budowlanego „Joseph Jung” z Solingen, działającym w Zdobunowie na zachodniej Ukrainie. W ramach swoich obowiązków nadzorował realizację robót prowadzonych przez firmę na różnych lokalizacjach tego obszaru, m.in. w Dubnie, gdzie na terenie dawnego lotniska powstawały magazyny zbożowe.

– W pewnym momencie usłyszałem oddawane w krótkich odstępach strzały karabinowe dochodzące zza jednego z tych nasypów. Ludzie, którzy schodzili z ciężarówek, mężczyźni, kobiety i dzieci w różnym wieku, musieli się rozbierać na rozkaz esesmana, który miał w ręku pejcz. W określonym miejscu kładli odzież posortowaną na buty, bieliznę i ubrania wierzchnie. Widziałem stos butów składający się z 800 do 1000 par, sterty bielizny i ubrań. Bez płaczu i krzyku ci rozebrani ludzie stali dookoła, trzymając się w grupach rodzinami, całowali się na pożegnanie i czekali na znak innego esesmana, który stał nad brzegiem dołu, także trzymając pejcz – czytamy w jego relacji z książki „Proces norymberski. Trzecia Rzesza przed sądem” Joego J. Heydeckera i Johanna Leeba. – Obserwowałem rodzinę złożoną z ośmiu chyba osób, kobietę i mężczyznę w wieku pięćdziesięciu lat, ich dzieci, mniej więcej jednoroczne, ośmio- i dziesięcioletnie oraz dwie dorosłe córki w wieku 20–24 lata. Stara kobieta o śnieżnobiałych włosach trzymała na ręku roczne dziecko, nuciąc mu coś i zabawiając. Dziecko śmiało się zadowolone. Rodzice przypatrywali się tej scenie ze łzami w oczach. Ojciec trzymał za rękę chłopca, może dziesięcioletniego, i cicho coś do niego mówił. Chłopcu tęży cisnęły się do oczu. Ojciec wskazał ręką na niebo, pogłodził go po głowie i wydawał się coś mu tłumaczyć – opisywał Gräbe.

Ernst Fritz (Friedrich) Christoph Sauckel, pełnomocnik do spraw zatrudnienia pracowników przymusowych, SS-Obergruppenführer w latach 1942–1945 FOT. EAST NEWS

Konfrontacja z winą: abażur z ludzkiej skóry

Istotne jest też to, że proces norymberski stał się czymś więcej niż rozliczeniem grupy oskarżonych. Zmuszał całe niemieckie społeczeństwo do zmierzania się z własną odpowiedzialnością – z tym, na co przez lata pozwalano, co tolerowano, a niekiedy wspierano. – *Proces norymberski miał sprawić, by przywódcy III Rzeszy nigdy nie stali się bohaterami narodowymi, by sztandary niemieckie nigdy nie pochyliły się nad pomnikiem historycznych zbrodniarzy. By przyszłe pokolenia Niemców uznały krwawą winę i spłacić mogły – i chciały – straszliwy dług wobec całego świata* – pisał z Norymbergi Edmund Osmańczyk, polski publicysta i korespondent procesu.

Problem w tym, że Niemcy nie byli na taką konfrontację przygotowani i w dużej mierze starali się jej unikać. Aby wstrząsnąć opinią publiczną, oskarżyciele sięgnęli po dowody, które w tamtych czasach rzadko trafiały

do sądu. W pewnym momencie procesu zdecydowali się pokazać film dokumentujący funkcjonowanie obozów koncentracyjnych. Nie był to jedyny materiał w ich rękach, lecz z całą brutalnością obnażał, czym naprawdę był „obóz koncentracyjny”. Przedstawiono bowiem miejsce, gdzie w ciągu zaledwie kilku miesięcy zagłodzono, zamęczono i spalono tysiące ludzi. W sali rozpraw ustawiono także przedmiot, który stał się symbolem niewyobrażalnego okrucieństwa: abażur z ludz-

Zależnie od warunków atmosferycznych zabijanie ludzi znajdujących się w komorze śmierci trwało 3–15 minut. Gdy ustawał ich krzyk, wiedzieliśmy, że są martwi

kiej skóry, wykonany na zamówienie żony oficera SS. Nikt wcześniej nie widział dowodu równie wstrząsającego. Efekt był piorunujący.

Wstrząsającym elementem procesu były próby zaprzeczania winie podejmowane przez niektórych oskarżonych, jak Ernsta Kaltenbrunnera, który konsekwentnie kwestionował wiarygodność świadków i odrzucał wszelkie zarzuty, mimo ogromu materiału dowodowego obciążającego go, podobnie jak komendanta Auschwitz-Birkenau, Rudolfa Hössa. To właśnie zeznania Hössa wywołały wśród opinii publicznej, a także wśród sędziów i obrońców, szczególne przerażenie. Jego słowa – chłodne, szczegółowe, pozbawione emocji – były relacją bezpośredniego sprawcy masowych mordów. – *Mieliśmy w Auschwitz dwóch lekarzy SS, których zadaniem było badanie przybywających transportów więźniów. Więźniowie ci przechodzili przed jednym z lekarzy, który od razu podejmował decyzję. Zdat-*



FOT. EAST NEWS

nych do pracy odsyłano do obozu, innych kierowano natychmiast do zakładów eksterminacyjnych. Małe dzieci były z reguły uśmiercane, gdyż ze względu na swój wiek nie mogły pracować – zeznał Höss, który opisał też w jaki sposób doszedł do decyzji o użyciu cyklonu B.

– Komendant obozu w Treblince powiedział mi, że zgładził 80 tysięcy ludzi w ciągu pół roku. Głównym jego zadaniem było likwidowanie Żydów z getta warszawskiego; używał on

Ostatecznie ten zbrodniarz trafił pod sąd do Polski. Najwyższy Trybunał Narodowy w Warszawie skazał go na karę śmierci. Wyrok wykonano przez powieszenie 16 kwietnia 1947 roku na terenie byłego obozu zagłady Auschwitz.

Wyrok i egzekucje

1 października 1946 roku Międzynarodowy Trybunał Wojskowy w Norymberdze orzekł karę śmierci wobec dwunastu najwyższych funkcjonariu-

basa, sałatka ziemniaczana i herbata. Stracenia odbywały się pojedynczo, w sali gimnastycznej norymberskiego Pałacu Sprawiedliwości. Pierwsza egzekucja rozpoczęła się ok. 1.10 w nocy. W sali przygotowano trzy szubienice: dwie pracowały rotacyjnie, trzecia pozostawała w odwodzie. Raporty wskazują, że w kilku przypadkach specyfika zapadni i długość liny powodowały dodatkowe urazy, w tym uderzenia głową o konstrukcję. Ostatnie słowa skazanych różniły się tonem – od próśb o miłosierdzie, przez deklaracje patriotyczne i zaprzeczanie winie, aż po wezwania do przyszłej jedności Niemiec. Joachim von Ribbentrop, w swoim ostatnim oświadczeniu, apelował o ochronę jego ojczyzny i zgodę między Wschodem a Zachodem. Ciała straconych przewieziono następnego dnia – według jednej wersji do obozu koncentracyjnego Dachau pod Monachium, według innej – do krematorium na cmentarzu Ostfriedhof-München, gdzie zostały spalone. Prochy rozrzucono z samolotu nad jedną z niemieckich rzek.

Norymberga – nowy język praw człowieka

Procesy norymberskie stały się symbolem potępienia zbrodni masowych i fundamentem języka, którym dziś opisujemy agresję, ludobójstwo i zbrodnie przeciwko ludzkości – jak podkreślał Robert W. M. Kempner, prokurator amerykański w Norymberdze. Mimo to świat długo opierał się powołaniu stałego międzynarodowego trybunału karnego. Kolejne inicjatywy ONZ upadały w głosowaniach lub były torpedowane wetami dużych mocarstw, które zasłaniały własną samowolę hasłem suwerenności. Mimo tych przeszkód jedno pozostaje pewne: w Norymberdze podjęto pierwszą poważną próbę takiego uporządkowania świata, w którym ludobójstwo nie będzie już możliwe. ■



Rozprawę postanowiono przeprowadzić w Norymberdze – mieście, które uchodziło za symbol narodowego socjalizmu. Wiek, w którym przetrzymywano nazistów podczas 11-miesięcznego procesu FOT. EAST NEWS

tlenku węgla i nie wydaje mi się, by stosowane przez niego metody były bardzo skuteczne. Dlatego gdy zacząłem budowę urządzeń eksterminacyjnych w Auschwitz, zastosowałem cyklon B, stanowiący krystaliczny kwas pruski, wrzucany do komór śmierci przez mały otwór. Zależnie od warunków atmosferycznych zabijanie ludzi znajdujących się w komorze śmierci trwało 3–15 minut. Gdy ustawał ich krzyk, wiedzieliśmy, że są martwi. Do chwili otworzenia drzwi i usunięcia zwłok czekaliśmy zwykle około pół godziny. Po usunięciu zwłok specjalne grupy robocze zdejmowały pierścionki i wrywały złote zęby ze szczęk trupów – opowiadał Höss.

szy nazistowskich, w tym Hermanna Göringa, Hansa Franka i Joachima von Ribbentropa. – Stwierdzam z całym naciskiem, że jak najostrzej piętnuję te straszne masowe morderstwa, których zupełnie nie mogę pojąć. Ale jeszcze raz chciałbym na tym miejscu powiedzieć, że nikomu i nigdy nie wydałem rozkazu mordowania, jak również nie zarządzałem innych okrutnych czynów ani ich nie tolerowałem, jeśli o nich wiedziałem i byłem władny im zapobiec – mówił po wyroku Göring, który dzień przed wykonaniem wyroku popełnił samobójstwo.

Egzekucje przywódców III Rzeszy przeprowadzono 16 października 1946 roku. Skazańcom podano ostatni posiłek, w którym znalazły się m.in. kieł-



Profesor Jan Sehn

– człowiek, który przesłuchał niemieckich zbrodniarzy

TEKST | Norbert Nowotnik

Jan Sehn – krakowski prawnik, sędzia śledczy i profesor UJ – odegrał kluczową rolę w przygotowaniu procesów największych niemieckich zbrodniarzy m.in. Amona Götha i Rudolfa Hössa. W pierwszych latach po II wojnie światowej to właśnie on stał się jednym z głównych architektów polskich rozliczeń z niemiecką okupacją. 12 grudnia br. mija 60. rocznica śmierci tego wybitnego śledczego, którego działalność koncentrowała się nie tylko na ściganiu nazistów, ale także na rozwoju kryminalistyki.

Jestem (...) zdecydowanym przeciwnikiem kary śmierci, a rzecz jasna – tym bardziej zdecydowanym wrogiem zabijania i bestialskiego mordowania ludzi bez jakiegokolwiek powodu i sądu, jak to robili masowo faszysti hitlerowscy (...). Z tych przesłanek wynika dla mnie wewnętrzny obowiązek współdziałania z tymi, którzy dążą do ujawnienia takich zbrodni i ukarania ich sprawców, a całym moim postępowaniem kieruje sam głęboki szacunek dla życia – stwierdził Sehn 31 marca 1960 roku, którego słowa jako motto biografii pt. „Jan Sehn. Tropiciele nazistów” przytoczył historyk dr Filip Gańczak.

Rozliczenia przed Najwyższym Trybunałem Narodowym

Po II wojnie światowej doprowadzenie nazistowskich zbrodniarzy przed polski wymiar sprawiedliwości okazało się zadaniem wyjątkowo trudnym. Wielu Niemców i Austriaków celowo oddawało się w ręce Amerykanów, licząc, że dzięki temu unikną procesów w krajach, na których terytorium popełnili swoje zbrodnie. Spora część trafiła do alianckiej niewoli i potrafiła rozgrywać ją na własną korzyść – jedni wynegocjowali łagodniejsze traktowanie, inni całkowicie uniknęli odpowiedzialności, a niektórzy wręcz znaleźli zatrudnienie u wczorajszych przeciwników. Tym-

czasem to właśnie Polska poniosła w latach 1939–1945 relatywnie największe straty i szkody demograficzne spośród wszystkich państw walczących i okupowanych. Warto jednak podkreślić, że na terenach okupowanej Polski ściganie zbrodni nazistowskich rozpoczęło się niemal od pierwszych tygodni wojny – w odpowiedzi na lawinę brutalnych przestępstw popełnianych już we wrześniu i październiku 1939 roku przez niemieckie formacje wojskowe i okupacyjne.

W Polsce najważniejsze powojenne procesy zbrodniarzy III Rzeszy to przede wszystkim te prowadzone przed Najwyższym Trybunałem Narodowym w latach 1946–1948. Pro-

cesy obejmowały najwyższych rangą nazistowskich urzędników i funkcjonariuszy, którzy odpowiadali za masowe egzekucje, ludobójstwo oraz inne zbrodnie wojenne na terytorium Polski. Zwracano uwagę na odpowiedzialność za obozy koncentracyjne, getta żydowskie oraz ogólną okupacyjną politykę terroru. Przed trybunałem odbyło się siedem głównych procesów, w których osądzono nie tylko komendantów obozu płaszowskiego Götha i KL Auschwitz-Birkenau – Hössa, ale również m.in. gauleitera tzw. kraju Warty Artura Greiser’a i gauleitera Gdańska i Prus Zachodnich Alberta Förstera. Większość z nich została skazana na karę śmierci za popełnione zbrodnie m.in. przeciwko ludzkości. Odbył się także proces załogi KL Auschwitz, w którym 23 oskarżonych skazano na karę śmierci, a innych na kary więzienia.

– Bohater mojej książki miał duży udział w przygotowaniu czterech z tych procesów, czyli większości. (...) Powszechnie znani są zbrodniarze, których przesłuchiwał. Poza Rudolfem Hösem Jan Sehn przesłuchiwał komendanta KL Płaszów Amona Götha, znanego z filmu „Lista Schindlera” Stevena Spielberga. Ponadto przygotowywał proces załogi Auschwitz, gdy na ławie oskarżonych zasiadło aż czterdzieści osób, a później jeszcze proces Josefa Bühlera, czyli zastępcy generalnego gubernatora Hansa Franka, którego, podobnie jak Hössa i Götha, również skazano na karę śmierci, a wyrok ten wykonano – powiedział przed kilku laty w wywiadzie dla PAP Gańczak.

Korzenie – niemieckie nazwisko, polska tożsamość

Jan Sehn urodził się 22 kwietnia 1909 roku w Tuszowie Małym na Podkarpaciu. Pochodził z rodziny osadników niemieckich, którzy przybyli do Galicji pod koniec XVIII w. Mimo niemieckich korzeni Jan Sehn czuł się

Polakiem. Po ukończeniu prawa na Uniwersytecie Jagiellońskim został aplikantem sądowym, a następnie asesorem przy Sądzie Okręgowym w Krakowie. Egzamin sędziowski złożył w 1937 roku, zdobywając wkrótce pierwsze doświadczenia jako sędzia śledczy. Awans do Sądu Okręgowego i prowadzenie sprawy Bolesława Drobnera – krakowskiego socjalisty aresztowanego jesienią 1936 roku, także rok później, za publiczne pochwały Związku Sowieckiego – stały się dla Sehn momentem przełomowym. Pracując pod okiem Mariana

Na terenach okupowanej Polski ściganie zbrodni nazistowskich rozpoczęło się od pierwszych tygodni wojny – w odpowiedzi na lawinę brutalnych przestępstw popełnianych we wrześniu i październiku 1939 roku

Restorffa, uznanego za najlepszego sędziego śledczego w Krakowie, Jan Sehn szybko chłonił nowatorskie metody pracy. – Ojciec mówił o Sehnie, że wspaniale łączy pedantyczność odziedziczoną po niemieckich przodkach z polskim polotem – wspomina w książce Gańczaka Hanna Restorff-Libiszowska, córka sędziego.

Pierwsza samodzielna sprawa Sehn, dotycząca śmierci trzech lekarzy w pożarze wiosną 1939 roku, utwierdziła go w przekonaniu, że dojście do prawdy wymaga sięgania po nowe narzędzia – medycynę sądową, toksykologię i inne nauki, które wówczas dopiero torowały sobie drogę do polskiego wymiaru sprawiedliwości.

– Od tego czasu uczyłem się kryminalistyki i w samokształceniu poznawałem jej osiągnięcia i metody oraz osiągnięcia i metody medycyny sądowej, toksykologii sądowej, traseologii i innych działów wiedzy przydatnych w praktyce kryminalistycznej – wspomina Sehn, co przełożyło się na jego dochodzenia przeciwko niemieckim zbrodniarzom.

Wybuch II wojny światowej jednak przerwał jego pracę prawnika; jako sekretarz stowarzyszenia restauratorów podejmował działania chroniące lokale przed zamknięciem, a ich właścicieli – przed wywózką na roboty w głąb III Rzeszy. Po wojnie Sehn dobrze odnajduje się w realiach nowej władzy. Pomagają mu wpływowe znajomości – choćby szwagier, poseł PZPR Tadeusz Puskarczyk, oraz bliska relacja z premierem Józefem Cyrankiewiczem, sięgająca czasów studenckich. Wsparcia udzielają mu także inni działacze, jak Kazimierz Rusinek. Te kontakty ułatwiają mu karierę po 1945 roku, choć jej fundamentem pozostają jego talent i wyjątkowa pracowitość.

„Sehn kazał zbierać każdy zapisany papierek”

Nowe władze komunistyczne, starając się o społeczne poparcie i międzynarodową akceptację, chciały pokazać, że traktują rozliczenie niemieckiej okupacji z pełną powagą. Kluczową rolę w inicjowaniu i prowadzeniu postępowań przeciwko nazistowskim zbrodniarzom odgrywała Główna Komisja Badania Zbrodni Niemieckich w Polsce, powołana dekretem rządu 10 listopada 1945 roku. Wcześniej, wiosną tego roku, działała najpierw Komisja Oświęcimska, której jednym z kluczowych zadań było zbadanie terenu byłego obozu Auschwitz-Birkenau i analiza materiału dowodowego potrzebnego do postępowań przeciwko sprawcom. Komisja, w której pracę rozpoczął wówczas Sehn, przesłuchi-

wała m.in. byłych więźniów, a także prowadziła oględziny obozowych budynków oraz systematycznie gromadziła wszelkie dostępne dowody.

Sehn, który stanął na czele podkomisji prawniczej, miał pełną świadomość znaczenia materialnych śladów po obozie i konsekwentnie zabiegał w Ministerstwie Sprawiedliwości o ich ochronę. Po wojnie nie było to wcale oczywiste – komunistyczne władze nie rzadko wykorzystywały dawne obozowe baraki do własnych celów, m.in. do przetrzymywania żołnierzy podziemia, a same tereny byłyby grabione lub niszczone. Dochodziło też do sytuacji skrajnie bulwersujących: sowieccy żołnierze urządzili potańcówkę na dachu jednego z krematoriów. Tymczasem Sehn prowadził drobiazgowe oględziny terenu i obiektów byłego KL Auschwitz-Birkenau, zabezpieczał i analizował odnajdywane archiwa obozowe, zbierał zeznania ocalałych oraz tworzył obszerną dokumentację fotograficzną.

– Prowadzone od wiosny 1945 roku dochodzenia związane z Auschwitz krakowski prawnik traktuje właśnie jak ekspert z dziedziny kryminalistyki. Teren byłego obozu wraz z okalającą go strefą wydzieloną (*Interessengebiet*) to dla Sehna miejsce przestępstwa. Miejsce – dodajmy – wyjątkowych rozmiarów, bo obejmujące czterdzieści kilometrów kwadratowych, i to bez licznych podobozów rozsianych w większej odległości. Procedury są jednak podobne jak w przypadku pospolitych przestępstw. Trzeba przeprowadzić oględziny, przesłuchać świadków, wyznaczyć biegłych, zabezpieczyć dowody winy. Urządzenia obozowe – wśród nich pozostałości zniszczonych komór gazowych – to nic innego jak narzędzia przestępstwa – napisał Gańczak, przypominając też słowa Sehna: „Nie ma przestępstw, przy dokonywaniu których sprawca nie pozostawiłby śladów po sobie”.

– *Wydobywaliśmy akta obozowe nawet ze śmietników i kloaki* – wspominała po latach, przywołana przez Gańczaka, Krystyna Szymańska, towarzysząca Sehnowi w wyjazdach na teren niedawnego obozu zagłady. – *Sędzia Jan Sehn (...) kazał zbierać każdy zapisany papierek, bez względu na jego stan* – dodała.

Jan Sehn wielokrotnie bada teren Auschwitz, zabezpiecza porzucane dokumenty i odnajduje kluczowe materiały: plany krematoriów, puszki po cyklonie B, kosztorysy firmy Topf & Söhne, która budowała piece krematoriów. – *Eufemizmy używane w dokumentach, takie jak „szczególne traktowanie”, „transporty specjalne”, „pomieszczenie dezynfekcyjne”, „łaźnia”, to podstawowe terminy ze słownika zagłady. Ich znaczenie pomagają odszyfrować kolejni świadkowie, także ci, którzy z bliska obserwowali uśmiercanie tysięcy ludzi* – opisuje pracę krakowskiego sędziego śledczego Gańczak.

Humanitaryzm, ale i pełna stanowczość

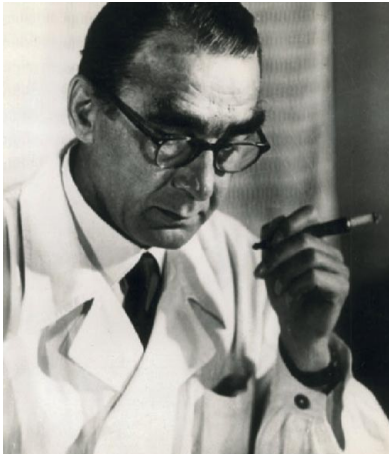
Sehn z ogromną determinacją angażował się w ściganie zbrodni nazistowskich, a to, że znakomicie władał językiem niemieckim, pozwalało mu bez przeszkód prowadzić przesłuchania niemieckich podejrzanych. Biegłość językowa skracala dystans i ułatwiała z nimi kontakt, a brak konieczności korzystania z tłumacza podnosił skuteczność jego pracy. Z tego powodu przesłuchania nie były nagrywane; sporządzano jedynie protokoły po polsku. – *Przesłuchiwał największych zbrodniarzy, a jednocześnie był wobec nich humanitarny. Pozwalał, by w celi mieli dostęp do lektur i korespondencji. Hössowi w dniach przesłuchań kupował nawet obiady. Być może stał za tym ludzki odruch, ale może też kalkulacja, że więzień dobrze traktowany jest bardziej skłonny do składania wyjaśnień* – powiedział PAP Gańczak.

Zanim Sehn przesłuchiwał Hössa, zmierzył się z Amonem Göthem – komendantem KL Płaszów i jednym z głównych sprawców zagłady krakowskich Żydów. Po przewiezieniu do Krakowa Göth trafia na ul. Montelupich, gdzie Sehn wprowadza własną, nowatorską metodę śledczą: zamiast brutalnych nacisków – pojedyncza cela, biurko, papier, ołówek, a nawet prasa i książki. Chodzi o to, by stworzyć warunki sprzyjające rozmowie i wydobyciu informacji. Choć Göth zaprzecza oskarżeniom, to dzięki perfekcyjnej znajomości niemieckiego Sehn potrafi – dobrze dobranymi pytaniami – wydobyć dane uzupełniające stan dowodów. A te są przytłaczające: dokumenty, relacje świadków, materiał zebrany w Płaszowie. Efekt jest przesądzony. 13 września 1946 roku Göth zostaje skazany na śmierć i powieszony. Nie okazuje skruchy; jego ostatnie słowa to: „Heil Hitler!”.

Rudolf Höss

To właśnie Sehn, działając wspólnie ze znanym psychiatrą i kryminologiem Stanisławem Batawią, nakłonił Rudolfa Hössa, komendanta Auschwitz, do napisania w więziennej celi obszernej relacji ze swojego życia. Polski śledczy przesłuchiwał go wielokrotnie i choć Höss mógł odmówić składania wyjaśnień, ostatecznie zdecydował się współpracować z polskim wymiarem sprawiedliwości. Co więcej, przesłuchania nie odbywały się w areszcie przy ul. Montelupich, gdzie Höss był więziony, lecz w gabinecie Sehna. Podczas tych rozmów profesor łączył humanitaryzm wobec osadzonego z pełną stanowczością w kwestiach zasadniczych.

– *Jeszcze przed swoim pierwszym spotkaniem z Hösem prosi o przekazanie mu listu od żony oraz „Historii cudownej Piotra Schlemihla” Adalberta von Chamisso – dwiętnasto-wiecznej opowieści o człowieku, który*



Jan Sehn FOT. BUNDESARCHIV

sprzedał własny cień. Potem przesyła na Montelupich dla Hössa dziennik okrętowy Krzysztofa Kolumba i książkę „Komm mit nach Madeira” Heinricha Zerkaulena. Przychylność byłego komendanta pozyskuje także, kupując mu obiady w dniach przestępstw – zaznaczył Gańczak.

– Zdawał sobie sprawę, że dobrze traktowani więźniowie są bardziej chętni do współpracy, dzięki czemu więcej mówią na temat swoich potwornych czynów – zauważył z kolei, cytowany przez historyka z IPN, Andrew Nagorski, który poświęcił Sehnowi rozdział swojej książki „Łowcy nazistów”.

W rezultacie działania Sehna przyniosły imponujące wyniki: Höss spisał obszerną autobiografię, umożliwił przygotowanie charakterystyk innych zbrodniarzy, ujawnił również szczegóły działania obozowej maszyny śmierci, co do dziś jest jednym z najważniejszych źródeł dotyczących Auschwitz. To właśnie rozkazami i ślepym posłuszeństwem wobec przełożonych tłumaczy Höss Sehnowi swoje zbrodnie. – Nieraz w czasie akcji masowego niszczenia Żydów zastanawiałem się, czy istnieje Opatrzność, a jeśli tak, to jak to jest możliwe, że takie rzeczy dzieją się mogą – wspomina Höss. – Mimo to byłem wszędzie obecny, zarówno przy odbieraniu nadchodzących transportów, jak przy gazowaniu w komorach gazowych i paleniu zwłok, chcąc służyć przykła-

dem moim podwładnym i uniknąć zarzutu, że wymagam od (nich) tego, od czego sam uciekam.

Sehn ponownie odegrał ważną rolę, przygotowując materiał dowo-

Urządzenia obozowe – wśród nich pozostałości zniszczonych komór gazowych – to nic innego jak narzędzia przestępstwa

dowy do pierwszego procesu oświecimskiego, który ruszył w Krakowie w listopadzie 1947 roku. Na ławie oskarżonych zasiedli Artur Liebehenschel i 39 członków załogi obozu. Przed końcem roku zapadły wyroki, w tym 23 kary śmierci.

Zasługi prawie nieznane

Warto też zaznaczyć, że Sehn był wybitnym ekspertem od kryminalistyki; był nawet pierwszym szefem Zakładu Kryminalistyki na UJ, który prowadził do momentu swojej przedwczesnej śmierci we Frankfurcie nad Menem w grudniu 1965 roku. Prace naukowe Sehna koncentrowały się na zagadnieniach prawa dowodowego, teorii opiniowania, śladów kryminalistycznych i badania miejsc przestępstwa. Propagował ścisłą współpracę pomiędzy uczestnikami tzw. łańcucha dowodowego od miejsca przestępstwa aż po salę sądową, zwracając uwagę na znaczenie zabezpieczenia śladów i materiałów dowodowych. – Praktyka życia dowodzi, że wymiar sprawiedliwości nie tylko nie może się bez tych wiadomości obejść, ale że ich znajomość jest tak samo konieczna potrzebna jak znajomość samych kodeksowych norm postępowania – podkreślił Sehn w jednym z artykułów. – W pracy śledczej dnia powszedniego

nie spotykamy się jednak z przestępstwem jako z pojęciem nauki prawa karnego, lecz jako ze zjawiskiem realnego życia. Wszystkie organa ścigania karnego w znacznie większej mierze niż w innych działach wymiaru sprawiedliwości mają do czynienia z życiem codziennym, którego przejawów nie można i nie wolno ignorować. Ich trudne obowiązki wymagają, aby tak samo zaglądano do księgi życia, jak zagląda się do księgi ustaw – wyjaśnił.

Instytut Pamięci Narodowej przypomina, że profesor Jan Sehn był dyrektorem Instytutu Ekspertyz Sądowych w Krakowie, który dziś nosi jego imię. To on zbudował prestiż tej placówki i stworzył podstawy nowoczesnej ekspertyzy sądowej w Polsce. Sehn pozostaje w cieniu historii. W podręcznikach pojawia się rzadko, w debacie publicznej – prawie wcale, mimo że był jednym z najważniejszych śledczych XX wieku.

Sehn angażował się także w ochronę spuścizny katyńskiej. Był jedną z osób, które pomogły ukryć tzw. Archiwum Robla – odpisy dokumentów i dzienniki polskich jeńców zamordowanych w 1940 roku w Katyniu. Jan Zygmunt Robel ukrywał te materiały kolejno przed Niemcami, Sowiecami i władzami PRL, a w tym ostatnim etapie wsparł go właśnie Sehn.

Tajemnicza śmierć

Prof. Jan Sehn zmarł nagle 12 grudnia 1965 roku we Frankfurcie nad Menem. Okoliczności tego zgonu opisywano jako „zaskakujące” i „niewyjaśnione”. Współpracownicy podkreślali, że był w doskonałej formie, a jego plany zawodowe sięgały na wiele lat do przodu. Do dziś wokół jego śmierci krążą domysły, lecz brakuje twardych dowodów pozwalających rozwiązać wątpliwości. Wydaje się jednak, że zmarł z przyczyn naturalnych, do czego mogło przyczynić się intensywne tempo jego pracy i życia. ■



9 grudnia 2025 roku odbyło się coroczne spotkanie wigilijne Kombatantów przygotowane przez Urząd do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych.

W spotkaniu udział wzięli m.in. ministra Rodziny, Pracy i Polityki Społecznej Agnieszka Dziemianowicz-Bąk, wiceminister obrony narodowej Stanisław Wziątek, szef Urzędu do Spraw Kombatantów i Osób Represjonowanych Lech Parell oraz zastępca szefa Urzędu Michał Syska, dowódca Garnizonu Warszawa gen. dyw. Tomasz Dominikowski oraz dowódca 1. Bazy Lotnictwa Transportowego gen. bryg. pilot Paweł Bigos.

Szef Urzędu Lech Parell przekazał wszystkim obecnym najserdeczniejsze życzenia z okazji zbliżających się Świąt Bożego Narodzenia, podkreślając znaczenie pamięci, wdzięczności i wspólnoty. Zwrócił również uwagę, jak wielkie znaczenie ma brak podziałów w społeczeństwie.

– *Siadanie do wspólnego stołu, dzielenie się chlebem jest znakiem pojednania. Przy stole nie toczy się wojen. To, co jest nam dzisiaj w naszym kraju tak bardzo potrzebne, to porozumienie, poszukiwanie wspólnego mianownika, poszukiwanie tego, co nas łączy, a nie tego, co nas dzieli* – podkreślił szef UdSKIOr.

